Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 20 (1808) • 16–22 maja 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 20

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 4804903f86

WOJNA DOMOWA

W studiu telewizji publicznej odbyła się ostatnia przed pierwszą turą debata przedwyborcza, w której wzięli udział wszyscy – trzynaścioro – kandydaci na urząd Prezydenta Rzeczpospolitej. Trwała blisko cztery godziny, była nudna jak homilia nowego papieża i raczej nie wpłynęła na decyzje wyborcze znacznej części elektoratu. Na pytanie, kto wygrał debatę, może być więc tylko jedna odpowiedź: nikt.

Przegrał Nawrocki, który nadal nie potrafił wyplątać się z afery mieszkaniowej. Z jednego kłamstwa brnął w kolejne, a pogrążył się ostatecznie, gdy nie znajdując lepszego argumentu, powiedział Trzaskowskiemu, że nie ma on zdolności honorowej. Gdyby ktoś chciał szukać honoru w postępowaniu i charakterze Nawrota, to nawet pod mikroskopem nie znajdzie go ani krztyny. Nawrocki to typowy pisowski krętacz, którego miejsce jest nie w drugiej turze, lecz przed sądem drugiej instancji.

Przegrał też Trzaskowski. Wyglądał, jak gdyby dzień wcześniej ostro zabalował i nie zdążył się wyspać. Chciał zakasować Nawrota wręczoną mu na koniec kopertą, której tajemnica wydała się nazajutrz, a zawierała wezwanie do przyzwoitego zachowania – wpłacenia pieniędzy na rachunek domu pomocy społecznej, gdzie od ponad roku przebywa człowiek, którym Nawrocki zobowiązał się opiekować do śmierci. Wzywać do przyzwoitości krętacza to jak prosić kurwę o pokazanie cnoty.

W innej debacie kandydat Stanowski wezwał kandydata Nawrockiego do urządzenia konferencji prasowej, na której odpowiadając dziennikarzom na wszystkie pytania, mógłby ostatecznie wyjaśnić każdy aspekt przekrętu mieszkaniowego. Zamiast tego sztab Nawrota nakręcił 10-minutowy filmik: bohater wzdycha, mówi boleściwym głosem, robi zatroskane miny i jest tak wiarygodny jak inni przedstawiciele partii, która udzieliła mu poparcia, szczególnie Morawiecki.

Jakiś niezbyt rozgarnięty spin doktor doradził Nawrockiemu, żeby na swój wiec zaprosił kandydata na prezydenta Rumunii George Simiona, lidera skrajnie prawicowego, prorosyjskiego i antyeuropejskiego Sojuszu na rzecz Jedności Rumunów. Nawrot słodził Rumunowi, Rumun Nawrotowi, a ciemny polski lud cieszył się jak dzieci z wakacji.

Wspomniany wiec odbył się w Zabrzu, gdzie w ostatnią niedzielę w wyniku referendum stołek straciła prezydentka miasta nazwiskiem Rupniewska. Była popierana przez Koalicję Obywatelską, a rządziła nieudolnie, arogancko i – jak to określa Zandberg – koryciarsko. Mieszkańcy mieli powody, żeby ją pogonić, gdzie pieprz rośnie. Jeżeli teraz Rupniewska znajdzie posadę w jakiejś spółce z udziałem skarbu państwa, to obywatele będą wiedzieli, kogo pogonić w najbliższych wyborach parlamentarnych.

Prokuratura ustaliła, że Centrum Handlowe Marywilska 44 w Warszawie podpaliła rok temu zorganizowana grupa przestępcza na zlecenie rosyjskich służb specjalnych. W pożarze nikt nie zginął, ale pracę straciło kilka tysięcy ludzi, a straty materialne liczy się w dziesiątkach milionów złotych. Podpalaczy było co najmniej ośmiu, wśród nich przynajmniej dwóch Ukraińców. W związku z „niewątpliwym" udziałem władz Rosji w przygotowaniu pożaru minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski polecił zamknąć rosyjski konsulat w Krakowie. W ramach typowych w takich okolicznościach retorsji Rosjanie zamkną teraz polski konsulat w Królewcu lub Irkucku.

Sikorski, szefowie dyplomacji innych państw Unii Europejskiej (oraz Norwegii, Wielkiej Brytanii, Mołdawii, Macedonii Północnej i Ukrainy), a także wysoka przedstawiciel UE ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa Kaja Kallas spotkali się we Lwowie. Podczas spotkania postanowiono o powstaniu „Specjalnego Trybunału Karnego ds. Zbrodni Agresji przeciw Ukrainie". „Tym, którzy kpią z tego trybunału, przypominam, że w przeszłości także kpiono z podobnego trybunału karnego dla byłej Jugosławii" – powiedział Sikorski, lecz mimo to Rosjanie wciąż kpią.

Do Kijowa pojechał premier Donald Tusk, gdzie razem z prezydentem Francji, kanclerzem Niemiec i premierem Wielkiej Brytanii poparł Ukrainę, wzywając Rosję do 30-dniowego bezwarunkowego zawieszenia broni. W towarzystwie prezydenta Zełenskiego przywódcy czterech państw (stojący na czele „koalicji chętnych") porozumieli się telefonicznie z prezydentem Trumpem i uzyskali jego akceptację dla działań „zmierzających do pokoju". Rosjanie z tego nie kpią, ale też nie traktują zbyt poważnie.

W ukraińskiej wizycie Tuska pisowcy (oraz Nawrot) dopatrzyli się oburzającego despektu dla Polski, ponieważ nasz premier pojechał do Kijowa innym pociągiem niż francusko-niemiecko-brytyjska wielka trójka. Tusk w wagonie pierwszej klasy, a wielka trójka w salonce, przecież to skandal i upokorzenie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej! Rzecznik polskiego MSZ uspokoił małostkowych pisowskich ignorantów, że warunki wizyty uzgodniły z naszymi władzami służby ukraińskie i żadnego poniżenia nie było.

O poziomie kompetencji nacjonalistów, nie tylko w polityce zagranicznej, świadczył urządzony przez nich w Warszawie dosyć rachityczny „marsz przeciwko migracji". Wystąpił na nim aktywny ostatnio Bąkiewicz (z symboliczną kosą postawioną na sztorc) oraz pisowscy posłowie: Czerniak, pardon, Czarnek, Kowalski i niedawno zwolniony z aresztu Matecki. Hasła raczej niewyszukane: „Zamiast migracji chcemy reparacji", „Tusk, Trzaskowski, zdrajcy Polski", „Cała Polska, pięści w górę, obalimy dyktaturę".

Będący prezydentem jeszcze 80 dni Duda odznaczył Złotym Krzyżem Zasługi Sławomira Świerzyńskiego, lidera discopolowego zespołu Bayer Full. Fragment jednego ze śpiewanych przez Świerzyńskiego utworów słowno-muzycznych: „Majteczki w kropeczki, ło ho, ho, ho/ Niebieskie wstążeczki, ło, ho, ho, ho/ Bielutki staniczek, ło, ho, ho, ho? Maleńki guziczek, ło, ho, ho, ho". Duda uznał taki tekst za „istotny wkład w dobro państwa i społeczeństwa". Jprdl.

Wyniki ostatniego sondażu przedwyborczego (IBRiS dla tygodnika „Polityka"): Trzask 33,7; Nawrot 21,6; Mentzen 11,8 proc. poparcia. Dalej: Hołownia 7,1; Biejat 5,8; Zandberg 5,6; Braun 3,4; Senyszyn i Stanowski po 1,2; Jakubiak 1,1; Bartoszewicz 0,8; Maciak i Woch po 0,2 proc. „Trudno powiedzieć" odpowiedziało 6,3 proc. pytanych.

Nasza uwaga: prognozowany wynik Nawrockiego jest ewidentnie niedoszacowany, bo ludzie wstydzą się przyznawać, że na niego zagłosują.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Maj 2013 r.

Świętego Filipa-Jacynesa

Emigranci odwiedzający Warszawę zachwycają się, jak miasto pięknieje. Wieżowce, apartamentowce, tu stadion, tam fontanny. A już w Boże Narodzenie miasto obwieszone tandetnymi dekoracjami świetlnymi lśni jak zęby prezydent Gronkiewicz-Waltz.

Polskę kosztowną wysypką pokrywają opery, aquaparki, stadiony, nowe pomniki i ozdobne deptaki. Lawina miliardów europejskich, która na nas spada, pożytkowana jest w nadmiernym stopniu na prestiżowy blichtr. Samorządy marnują środki na swoją chwałę i pokazówkę dla wyborców. Fundusze na walkę z bezrobociem sycą walczących, a nie bezrobotnych. Dopłaty do hektara dla małorolnych na ogół zabijają ich aktywność w produkcji na rynek, zamiast ją wzmagać.

Jeśli nowa transza miliardów nie zostanie wydana na wzmaganie migracji – tej dosłownej ruchliwości społecznej – na budownictwo socjalne i wspieranie nowin technicznych, takich jak grafen, Polska pozostanie zacofanym, prowincjonalnym kraikiem z połyskującą fasadą.

Świętego Sylwiana

Gowin chce być prezydentem Krakowa. Czy warto poświęcić Kraków, żeby pozbyć się Gowina z centrum władzy? Myślę, że tak, chociaż pod jego prezydenturą jako następcy Majchrowskiego kolejne partie miasta darowane zostaną Kościołowi. Rządzić zaś Krakowem będą Dziwisz i jego protegowani. Samemu Gowinowi uda się za to deregulacja. Ruchu ulicznego.

Świętej Judyty

Potrzebowałem w agencji towarzyskiej ładnej i eleganckiej pokazowej studentki, żeby towarzyszyła mi do filharmonii. Policzyli trzy razy więcej niż za seks z wszystkimi możliwymi penetracjami. Słuchanie muzyki jest dla ich dziewczyn bardziej męczące.

Świętej Prudencji

2 maja prezydent Komorowski cieszył się publicznie wraz ze świtą. Wystawił ptaka z białej czekolady, który nasrał mnóstwo brunatnej. Wcześniej „Wyborcza" zarządziła dzień radości w dzień flagi, ale nikt nie chciał radować się na komendę. Zresztą nie miał siły. Poprzedniego dnia, 1 Maja, społeczeństwo śmiało się do bólu z Leszka Millera. W trakcie przemówienia na wiecu szefa SLD jego asystent donośnym szeptem dyktował mu zdanie po zdaniu przekładaniec z okolicznościowych banałów i frazesów. Miller od siebie dodawał do przemówienia wiecowe miny i emocje. Grał gniew klasowy. Darł się na modłę epoki przedmikrofonowej. A nawet „Niech się święci 1 Maja" nie umiał powiedzieć bez podpowiedzi.

Jeszcze nigdy w dziejach żaden polityk nie dał takiego publicznego pokazu udawania, nieszczerości, robienia z siebie durnia. Pajacissimo.

Świętej Estelii

Tytuł „Anatomia przypadku" nadano książce Jana Rokity zwierzającego się Robertowi Krasowskiemu. Można go czytać dwojako. Jako podkreślenie nadrzędnej roli przypadku w biegu zdarzeń. I jako wejrzenie w Rokitę jako przypadek polityczny. Spowiedź jest tzw. cennym przyczynkiem do historii najnowszej. Wśród wad Jana Rokity uwydatnia się dobra pamięć, której skutkiem jest nużąca drobiazgowość.

Byłaby to lektura ciekawa dla klasy politycznej, gdyby jej członkowie w ogóle czytali książki. Niektórzy najwyżej w skorowidzu nazwisk sprawdzają, czy jest coś o nich i czytają w ten sposób wybrane partie.

Rokita nazywa komunistami polityków czynnych we władzach w końcówce PRL: Kwaśniewskiego, Millera i ich otoczenie. Nie byli to komuniści ani w sensie ideowym, ani celów politycznych. Podobnie jak Rokita po wojnie PPR wrzucała do jednego worka socjalistów, faszystów z NSZ, PSL-owców, liberalnych demokratów, nazywając ich łącznie reakcją.

Niedoszły „premier z Krakowa" ubolewa, że w 1990 r. nie odebrano „komunistom" praw obywatelskich i politycznych np. na dwie kadencje sejmu. Ani mu w głowie, że po dwóch kadencjach lewica jako formacja prześladowana i budząca nadzieje mogłaby uzyskać nawet większość konstytucyjną w wyborach. I nabrać skłonności odwetowych.

Świętej Joanny d'Arc

Kupiłem Daniszewskiej film, który mi się podobał. Powiedziała, że nigdy go nie obejrzy, bo kupując, wywieram na nią presję. Dotyczy to także biżuterii i wszelkich upominków. Wyjątkowo tania kobieta wybrała mnie sobie na męża.

Świętej Solanż

Przyszłość narodu mamy zamrożoną w formie miliardów zarodków. Policje węszą, czy ten potencjał nie jest wywożony za granicę, a jeśli tak, to jak. Jadłem ostatnio lody eksportowe i z ich smaku wynikało, że mają wkładkę mięsną o smaku przyszłych członków służb specjalnych.

Świętej Estelii

W miesięcznicę masowego mordu elity narodu pod Smoleńskiem odbywałem promocję książki „Jerzy Urban" pióra Marty Stremeckiej. Publiczność nie przyszła kłócić się ze mną ani nawet zjeść i wypić. Kilka osób przybyło przez grzeczność dla mnie, kilkadziesiąt po autograf. Rekordziści potrzebowali po 10 podpisów na różnych drukach. Po co komu te autografy, rzecz nie do pojęcia. W roku 1990 wydałem książkę „Alfabet Urbana", której sprzedano 750 000 do 850 000 egzemplarzy, ponieważ miała wydrukowany mój autograf. Pomysł został zapomniany w branży wydawniczej i dlatego przeżywa ona kryzys. „Życie słonia" powinno mieć odcisk trąby. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Karol Nawrocki** zapozował do zdjęcia z defekującym sokołem. Sokół zaprzecza, aby zesrał się z wrażenia.
- **Ministerstwo Edukacji** promuje „robienie kroków" w ramach WF. Prawica z tego zrozumiała „robienie w kroku".
- **Jarosław Kaczyński** powiedział, że Trzaskowski kłamie tak, że słońcu wstyd świecić. Czy oprócz zimnego maja są na to jakieś dowodziki?
- **Papież Leon XIV** jechał samochodem osobowym, siedząc koło kierowcy. Dopóki nie jechał w bagażniku, to wszystko gra.
- **Krzysztof Rutkowski** zapewnił, że ludzi boli, że on tak dobrze wygląda. Konkretnie to zęby bolą.
- **Rafał Trzaskowski i Karol Nawrocki** wręczyli sobie po kopercie. To zaczyna przypominać wybory kopertowe Jacka Sasina.

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Obszerne wyjaśnienie

W trakcie debaty kandydatów na Prezydenta RP poruszono milion wątków, ale żadnego nie potraktowano poważnie. Może to kwestia formuły tego typu programów, ale jeśli tak, pożytek z tego niewielki. Tu chcę się odnieść do jednego tematu, co pokazuje, jak to działa w innych przypadkach.

Pan Nawrocki z emfazą ogłosił, że KO chciała zlikwidować 100 oddziałów położniczych, głównie w szpitalach powiatowych. Od dyskusji nad propozycją rozwiązania do decyzji o likwidacji droga daleka, ale przecież chodziło o głosy mieszkańców wsi i małych miejscowości.

W trakcie dyskusji nad reformą naszej „służby" zdrowia rozważano propozycję racjonalizacji środków wydatkowanych przez NFZ poprzez likwidację części małych i słabych szpitali powiatowych i przeniesienie środków do wybranych szpitali, nazwijmy je regionalnymi. Z tym związany miał być rozwój gminnych przychodni zdrowia z lekarzami pierwszego kontaktu i odpowiednią obsługą pielęgniarską, co znacznie taniej miało zaspokoić większość potrzeb. Przy tym przewidywano rozwój transportu medycznego, co miało zapewnić szybką i lepszą pomoc w poważniejszych przypadkach. Szpitale są najkosztowniejszą formą leczenia. Bo to wymaga specjalnych budynków, częstych remontów, drogiego wyposażenia oraz znacznej liczby pracowników do obsługi, pracujących całodobowo w świątek i piątek, po co najmniej dwóch lekarzy i kilka pielęgniarek na każdym z oddziałów na każdym dyżurze. Nadzór nad szpitalami powiatowymi jest istotnym filarem władzy i znaczenia starostów. Bo stwarza możliwości protekcji albo lepiej wygląda umieszczenie dziadka na OIOM-ie niż w DPS-ie.

(…) Sądzę, że prawie każda z poruszanych w tej „pyskówce" kwestii zasługuje na obszerne wyjaśnienie z uzasadnieniami: co, jak można, jakie zalety i wady ma każde z proponowanych rozwiązań. Obawiam się tylko, że większość kandydatów nie ma pojęcia, o czym mówi, a i większość z wyborców nie ma potrzeby słuchania „ze zrozumieniem" złożoności problemu.

Pozdrawiam

STEFAN SZPALERSKI

Nie te kompetencje

Przy każdej okazji wyborów prezydenckich zastanawiam się (…) nad prezentowanymi przez kandydatów programami, na które ścigają się na wiecach i w telewizorach. A jakież znaczenie mają te programy? Kiedy jest o nich mowa, najczęściej słyszymy o rzeczach, które w ogóle nie leżą w gestii prezydenta. (…) Chociażby ostatnio podczas debaty telewizyjnej, kiedy to Karol Nawrocki robił jakieś wycieczki w stronę Trzaskowskiego w związku z polityką likwidacyjną szpitali. Akurat znam się na tej branży. Może ktoś powinien kandydatowi Nawrockiemu powiedzieć, że to nie jest kompetencja prezydenta. Rozumiem, że kandydaci powiedzą wszystko, aby tylko przypodobać się elektoratowi. Ale przynajmniej dziennikarze prowadzący te występy mogliby kandydatów uświadomić, że w dużej mierze wypowiadają się o czymś, co nie leży w ogóle w kompetencjach prezydenta.

CZYTELNIK Z MŁAWY

eprasa.pl 4804903f86

Głosuję na Senyszyn

Czego i Państwu życzę

Joanna Senyszyn jest moim przyjacielem. Nie przyjaciółką – nie pamiętam, żebyśmy rozmawiały o facetach, butach czy manikiurze, a o dzieciach tylko wtedy, kiedy jakieś drze mordę w restauracji – ale właśnie przyjacielem, z całym szacunkiem dla jej przywiązania do feminatywów.

Szczerze mówiąc, to w zasadzie wystarczyłoby mi, żeby popierać jej kandydaturę w tych wyborach – lojalność wobec przyjaciół jest dla mnie zajebiście ważna. Ale mam też kilka innych argumentów.

Po pierwsze: Senyszyn jest jedyną kandydatką w tym wyścigu, która ma odwagę (i rozum) krytykować horrendalne wydatki na zbrojenia. Osobiście uważam, że proponowane przez nią 3–3,5 proc. PKB to i tak za dużo; wolałabym, żebyśmy ograniczyli się do 2 proc., do których jesteśmy zobowiązani przez NATO. Ale już zejście z 5 do 3,5 proc. byłoby zmianą zbawienną: to 80 mld zł na opiekę zdrowotną, na program mieszkaniowy, na edukację i naukę.

I – co może nawet ważniejsze –

Joanna jest kandydatką, która nie ulega wojennej histerii. A w zasadzie pokusie straszenia wojną – bo cała ta narracja, iż Ukraina „walczy za nas", bo „jesteśmy następni", to manipulacja służąca do mobilizacji elektoratu.

Jestem dziwnie przekonana, że wszyscy ci politycy, którzy od trzech lat sieją panikę, tak naprawdę doskonale wiedzą, że Rosja nie ma żadnego interesu w atakowaniu Polski. Ani jako kraju NATO, ani jako kraju UE, ani jako kraju, który nie ma dla FR znaczenia strategicznego: mniejszość rosyjska w Polsce to 2 tys. osób, nasza wspólna granica ma ledwie 210 km, nie mamy żadnych dóbr naturalnych, na których Putinowi mogłoby zależeć, za to 37 mln obywateli wychowanych w niechęci do Rosji. Ewentualne zdobycie i okupowanie Polski byłoby ciągiem problemów bez jakichkolwiek korzyści strategicznych. I to nie jest – jak Senyszyn trafnie wyjaśniła w Kanale Zero – „dobre zdanie o Rosji", tylko racjonalna ocena sytuacji geopolitycznej. Sądzę, że na taką racjonalną ocenę stać większość – jeśli nie wszystkich – polityków tzw. mainstreamu. Tyle tylko, że żaden z nich jej nie werbalizuje – w interesie klasy politycznej leży społeczeństwo wylęknione, bo lęk eliminuje krytyczne myślenie.

Po drugie: Senyszyn jest profesorem nauk ekonomicznych. Wprost nie sposób przecenić wagi tej informacji i osobiście uważam, że Joanna nie dość często ją podkreśla. Zarządzanie gospodarką jest najważniejszą funkcją państwa: od tego się wszystko zaczyna i – kiedy zarządzanie jest gówniane – na tym się kończy. Niewiele jest konceptów bardziej toksycznych społecznie niż idea państwa jako stróża nocnego. Państwo musi być aktywne w gospodarce, musi mieć i realizować strategię rozwoju, tylko do niego należy kluczowa rola redystrybucyjna. Prezydent oczywiście nie prowadzi polityki gospodarczej, ale byłoby dobrze, gdyby ją rozumiał. Makroekonomia to skomplikowana nauka, a o skutkach ignorancji, która rodzi pokusę prostych recept, każdego dnia uczy nas Donald Trump.

Rys. TOMASZ WIATER

Po trzecie: Joanna Senyszyn walczyła z Kościołem kat., zanim stało się to modne. W tej sprawie idziemy łeb w łeb – ona i tygodnik „NIE". Dziś, wobec totalnego upadku autorytetu kleru i postępującej sekularyzacji życia, jest to mniej istotne – ale dobrze by było mieć prezydenta, którego przywiązanie do zasad świeckiego państwa jest prawdziwe, a nie koniunkturalne. Tak na wszelki wypadek; w końcu nie sposób wykluczyć, że obecny rząd wkurwi wyborców do tego stopnia, że wyniesie to do władzy jakiegoś Czarnka z zapleczem w duchu Jacka Hogi (to ten doradca Mentzena, którym tak się ekscytuje TVN).

I wreszcie po czwarte: i to powód mniej oczywisty, a bardziej nawiązujący do moich osobistych obsesji – Joanna jest samobieżną bronią przeciwko ageizmowi. Jasne, jako człowieka lewicy, postępu i wrażliwości społecznej oburzają mnie wszelkie formy dyskryminacji i związanej z nimi nietolerancji – ale ageizm jest tą, której szczególnie nienawidzę. I to nie tylko teraz, kiedy mam 53 lata – dokładnie tak samo czułam, kiedy miałam 23. Ten idiotyczny kult młodości, jakieś fetyszystyczne przekonanie, że wszyscy powinni ustępować przed przywilejem późnego urodzenia, jest bezzasadny, toksyczny i po prostu głupi.

Gdzieś – zapewne w umysłach grupki perfidnych starców u władzy – zrodziła się idea, że młodzi chcą słuchać młodych, więc trzeba się tymi młodymi wystawiać, a tak naprawdę zasłaniać, żeby pozyskać ich głosy. Gówno prawda. Co dobitnie udowodnił Bernie Sanders, który ruszając do wyścigu o nominację partii demokratycznej w wieku lat 75, zdobył serca młodych wyborców, zostawiając w tyle młode gwiazdy partii. Do dziś zresztą Sanders jest najpopularniejszym politykiem w USA, cieszącym się szczególnie wysokim zaufaniem w kohortach wiekowych 18–29 i 30–44.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wiem, że Joanna Senyszyn nie jest Berniem Sandersem. Joanna nie jest rewolucjonistką – ale też nasz system, jakkolwiek gówniany, wymaga naprawy, ale nie rewolucji. Choćby dlatego, że – w odróżnieniu od USA – mamy publiczną opiekę zdrowotną, bezpłatne studia wyższe na państwowych uczelniach i kilka innych spadków po komunie. Polacy nie bankrutują z powodu kosztów leczenia, a młodzi ludzie nie ruszają w dorosłe życie obciążeni długiem studenckim, który na dekady czyni ich niewolnikami w miejscu pracy. Zgoda – niewolnikami stają się w wyniku kredytów hipotecznych (jeśli uda im się kupić mieszkanie), ale na to właśnie odpowiedzią jest budowa mieszkań komunalnych. Za którą opowiadają się wszyscy lewicowi kandydaci. Ale tylko Senyszyn wskazuje realne źródło finansowania: w obcięciu wydatków zbrojeniowych. Magdalena Biejat postulowała wręcz, żeby „wyłączyć temat obronności i zbrojeń z kampanii"; Adrian Zandberg na temat poziomu wydatków na zbrojenia strategicznie milczy.

Ale ja w zasadzie nawet nie o tym. Otóż Senyszyn – ze swoją specyficzną charyzmą, brakiem nabzdyczenia, dystansem do siebie – trafiła do młodych wyborców (a nawet jeszcze nie wyborców) lepiej niż Mentzen ze swoim browarem. Joanna jest gwiazdą netu, bohaterką tysięcy memów, kilku piosenek, niezliczonych tagów. Zainspirowała nowe frazeologizmy – mój ulubiony to „wszedłeś jak Senyszyn na debatę". Jest oczywiste, że doświadczenie życiowe Joanny Senyszyn jest jej merytorycznym atutem – co trafnie ujmuje, mówiąc, że 40 proc. ludzkości pozostaje pod rządami jej rówieśników (Chiny, USA, Indie). Nieoczywiste – i optymistyczne – jest to, że to doświadczenie nie jest przeszkodą w komunikacji z młodymi ludźmi.

A tak w ogóle to nie jesteśmy w roku 2000, kiedy wszyscy kandydaci mogli sobie darować, bo wiadomo było, że Aleksander Kwaśniewski ma zwycięstwo w kieszeni i cała ta kampania była nieco dla picu. Ani nikt z faworytów nie jest Kwaśniewskim – ani rok 2025 nie jest tym w miarę cywilizowanym końcem XX w., kiedy „polaryzacja" oznaczała, że ktoś się komuś chłodno odkłaniał. Próżno dziś szukać wyborców, którzy byliby gotowi zagłosować na kandydata przeciwnego obozu, wychodząc z założenia, że może nie jest nasz, ale w sumie jest w porządku i zna się na swojej robocie. Nikt nie wygra tych wyborów w I turze i zaklęcia w stylu „Polska cała dla Rafała" tak naprawdę lekko obrażają naszą inteligencję. Zagłosujmy więc po swojemu i zobaczmy, co może z tego wyniknąć.

Jakby tak nowe SLD…

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Idealnie nieidealny

Rzecz o demokracji marzycielskiej

Pewnie, że fajnie i łatwo głosuje się na kandydata idealnego. Takiego, co to ma wszystkie te cechy, które chcemy, żeby miał; w stu procentach odzwierciedla nasze poglądy; nigdy w swojej działalności ani podczas kampanii nie zrobił nic, co godziłoby w wyznawane przez nas wartości, idee; który przez całą kadencję będzie robił tylko to, co sobie zamarzymy itd., itp. Tyle że takiego kandydata nigdy nie było, nie ma i prawdopodobnie nie będzie. No, może łatwiej pod tym względem mają prawacy, bo tam w zasadzie wystarczy, żeby kandydat po prostu był. Po naszej stronie rzeczywistości – w środowiskach lewicowych, centrolewicowych, liberalnych – już tak łatwo nie jest.

Zauważam, że w tych bańkach, w których ja się obracam, oczekujemy od poszczególnych kandydatów, na których skłonni bylibyśmy zagłosować, że zawsze zachowają się idealnie, zawsze powiedzą to, co chcemy usłyszeć, i zawsze zapowiedzą, obiecają wszystko to, co w danej chwili będzie zaspokojeniem naszych oczekiwań. Tymczasem patrzcie: po tamtej stronie rzeczywistości jest łatwiej! Tam wystarczy, że Wódz wskaże, na kogo głosować, i wszyscy tak zagłosują, choćby ten kandydat był szubrawcem najwyższej próby i obrobił z mieszkań cały legion niezaradnych życiowo staruszków. Tam wskazany kandydat jest ideałem już poprzez sam fakt, że jest. U nas tak się nie da. Bo tęczową flagę schował. Bo rozbija lewicę. Bo nie popiera. Bo siedzi w opozycji, zamiast kolaborować z rządem. Bo założył strój nieodpowiedni. Bo jest zbyt miglancowaty. Bo za ładna. Bo za brzydki. I tak dalej w koło Macieju. Najważniejsze jest, że większość tej krytyki poczynań kandydatów dotyczy w zasadzie gestów, kampanijnych momentów, drobnych wpadek, które równie dobrze mogły się nie wydarzyć. Ale że się wydarzyły, to urastają do rangi narodowych problemów, rozczarowań, których się nie wybacza. No i oczywiście to wszystko trzeba jeszcze obwieścić w internecie.

Wychodzi na to, że oczekując od kandydatów cech i poglądów idealnych i idealnie zbieżnych z naszymi, abyśmy mogli na nich zagłosować, tworzymy pewien rodzaj demokracji, którą ktoś ostatnio pięknie nazwał na Facebooku demokracją marzycielską.

Nie interesuje nas rzeczywistość, istniejący układ i rozkład sił, tylko ideał, na który oddamy głos. Nie zagłosuję na niego, bo nie powiedział tego, co chciałam! Zagłosuję na innego, który jest bardziej idealny, ale nie ma żadnych szans. Nieważne konsekwencje, jeżeli dyktowany takimi przesłankami wybór będzie po prostu stratą głosu. A będzie nią także np. w przypadku powstrzymania się od głosowania na kogoś mniej idealnego w drugiej turze.

Konsekwencją takich wyborów może być zamordyzm, którego przedsmak przecież mieliśmy. Naprawdę chcemy próbować dalej?

Uważam, że obecny układ sił i jego perspektywy na najbliższe lata są takie, że na tworzenie demokracji marzycielskiej jeszcze nas nie stać. Na wybieranie ideałów może przyjdzie kiedyś czas. I być może po to, byśmy za lat kilkanaście (bo nie sądzę, że prędzej) mogli głosować ewentualnie na ideały, teraz trzeba oddać głos na kandydata nieidealnego. Tak samo było w minionych wyborach parlamentarnych, tak samo będzie w kolejnych. Nadal jesteśmy w tym momencie, w którym musimy odbierać władzę zatęchłej katoprawicy. I pilnować, żeby nie było gorzej. Dlatego ja zagłosuję na jedyny w takich okolicznościach wybór: idealnie nieidealny, ale przede wszystkim z szansami i z gwarancją, że nie będzie gorzej. Nie zastanawiam się, czy poparł, czy zadeklarował, czy podpisze. Zapewne tak, bo można z nim dojść do porozumienia. Przekonałam się o tym podczas negocjacji w sprawie podpisania warszawskiej karty LGBT, w których uczestniczyłam. Dlatego zagłosuję na Rafała Trzaskowskiego i nie wstydzę się tego publicznie powiedzieć.

Rys. WIDGET

EDYTA BAKER

Najlepszy wybór

W pierwszej turze wyborów prezydenckich nie zagłosuję na:

- Artura Bartoszewicza – bo po poznaniu w debatach kandydata i jego syna nie chcę poznawać jego żony;
- Grzegorza Brauna – bo jest obrzydliwym antysemitą;
- Szymona Hołownię – bo jest świętoszkowatym kabotynem;
- Marka Jakubiaka – bo jest chamidłem, nacjonalistą, który pisowcom włazi w dupę;
- Macieja Maciaka – bo zachowuje się jak potłuczony, mówi jak potłuczony i pewnie myśli jak potłuczony;
- Sławomira Mentzena – bo jest mizoginem, narodowcem i katolickim ekstremistą;
- Karola Nawrockiego – bo jest oszustem i łgarzem;
- Joannę Senyszyn – bo jest za delikatna i krucha jak na prezydentkę;
- Krzysztofa Stanowskiego – bo w kampanii wyborczej nie był tak zabawny, jak mógłby być;
- Rafała Trzaskowskiego – bo najpewniej zagłosuję na niego w drugiej turze;
- Marka Wocha – bo jest człowiekiem zbyt wielu talentów i rzadko patrzy prosto w oczy;
- Adriana Zandberga – bo wiem, że z pogardą traktował tygodnik „NIE" oraz Jerzego Urbana, jego twórcę.

W pierwszej turze wyborów prezydenckich zagłosuję na Magdalenę Biejat, bo tylko ta kandydatka mi pozostała z trzynastu. Jest silna, bystra, przewidywalna, wrażliwa i urocza – wypisz wymaluj Aleksander Kwaśniewski w spódnicy, na którego głosowałem trzy razy (dwa w 1995 r. i raz w 2000) i nigdy tego nie żałowałem.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 4804903f86

ETYKA BEZBOŻNA

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

„Dobroczyńca" o twarzy flippera

Karol I Łajdak

No nie obędzie się bez tego, żeby etyk tak bezbożny jak ja odniósł się do wyczynów tak dorodnego pomazańca bogów i prezesów jak Karol Nawrocki, pretendent do tronu Najjaśniejszej Rzplitej. Bo że to odrażający narcystyczny karierowicz, chorobliwie zafascynowany większymi cynglami i kozakami niż on sam, to już wiemy od dawna. Teraz jednak dane nam było poznać nową twarz tego niezłomnego patrioty – twarz flippera.

Flipper to po naszemu obracacz. Obraca mieszkaniami – tanio kupi, wyremontuje, drogo sprzeda. Niby biznes jak każdy inny, ale nie do końca. Bo przypadków, gdy ktoś ma mieszkanie po babci i nie chce mu się go remontować, a za to potrzebuje szybkiej gotówki, jest niewiele. W zasadzie tylko w tego rodzaju sytuacjach można kupić mieszkanie w okazyjnej cenie. Poza tym każdy kieruje się średnią ceną rynkową, którą można ustalić w internecie w ciągu minuty. Można zażądać nieco mniej, ale to kwestia 10 proc., a może 15 proc., gdy potrzebny jest rzeczywiście poważny remont. Cwany flipper z takich sytuacji by się nie wyżywił. Jemu nie wystarcza polowanie na okazje. On szuka ludzi słabych i bezbronnych, których można omotać i wyłudzić od nich zapis testamentowy, odwróconą hipotekę albo sprzedaż mieszkania za opiekę.

Nawrocki, biegły w stosunkach z półświatkiem i czujący się pośród wszelkiej patologii jak mucha na łajnie, dostał cynk o pewnym mało sympatycznym i demenciejącym już pijaczku zamieszkującym kawalerkę w bloku komunalnym. I ruszył do akcji. Jak wiadomo, w wielu miastach można było swego czasu wykupywać mieszkania komunalne za ułamek ich wartości. W ten sposób setki tysięcy rodzin w całym kraju stały się właścicielami lokali, w których mieszkali od wielu lat. Można uważać to za sprawiedliwe, można się z tym nie zgadzać. Z całą pewnością jednak intencją przepisów oferujących wykup mieszkań z zasobów miejskich z bonifikatą 90 proc. nie było to, aby natychmiast mogły je przejmować tanim kosztem osoby trzecie. Ale osoby trzecie, by nie powiedzieć osoby ostatnie, takie jak doktor Nawrocki, nie przejmują się intencjami rady miasta, lecz własnym szemranym interesem.

Młody a cwany Nawrocki najpierw wyłudził od dziadka (wówczas wprawdzie jeszcze niemającego siedemdziesiątki) testament. W zamian za wpłacenie kwoty niezbędnej do wykupu mieszkania (Nawrocki zrobił to własnoręcznie!) zażądał od swojej ofiary testamentu czyniącego go jedynym spadkobiercą oraz wydziedziczenia własnych dzieci. Tego jednakże było mu mało. Cholera wie, ile lat dziadek miał zamiar jeszcze żyć? Postanowił więc przejąć mieszkanie wcześniej. Zaprowadził więc dziadka do zaufanego notariusza, który bez mrugnięcia okiem przeprowadził umowę, na podstawie której zrzeka się on wszelkich praw do rozporządzania mieszkaniem w zamian za 120 tys. zł, których to oczywiście wcale nie otrzymał. Zysk dziadka był taki, że nie musiał już płacić czynszu, a pewnie kilka albo kilkanaście razy Nawrocki wrzucił mu jeszcze do kieszeni parę stów albo siatkę z produktami ze spożywczaka. Nawrocki to może i łobuz, ale dobry – wcale byśmy się nie zdziwili, gdyby tych prezentów przez lata uzbierało się za kilkanaście tysięcy (choć nie ma na to żadnych dowodów). Stare to jednak dzieje, bo od kilku lat dziadek żyje pod opieką pomocy społecznej, a od roku jest pensjonariuszem domu pomocy społecznej.

Po pięciu latach od wykupu mieszkania i ubezwłasnowolnienia dziadka w zakresie dysponowania formalnie wciąż jeszcze jego mieszkaniem możliwe już stało się jego sprzedanie (i kupienie) bez konieczności zwracania bonifikaty. Jako pełnomocnicy dziadka małżonkowie Nawroccy przed obliczem notariusza, pod nieobecność właściciela i bez jego wiedzy sprzedali sami sobie mieszkanie – pod okiem notariusza. No, bezczelność ludzka w wymyślaniu trików służących obejściu prawa nie ma granic. Podobnie jak zepsucie notariuszy, którzy takie szwindle flipperskie stemplują.

Chamskie przejęcie kawalerki pewnie wcale by nie wyszło na jaw i progenitura Nawrockich mogłaby spokojnie rozpocząć życie płciowe na swoim, gdyby nie wielka kariera naszego pupilka. Nie tylko bowiem my go kochamy, lecz pokochał go sam pan prezes. Karolek omamił go obietnicami, że zostanie niezłomnym kapłanem kultu Lecha Kaczyńskiego, czym otworzył sobie drogę (z małą pomocą sejmowego klubu PSL) do objęcia uchwałą sejmową funkcji ojczyma nieślubnego dziecka prokuratury poczętego z instytutem historii, noszącego imię Instytut Pamięci Narodowej. A że to wielki ważniak, który może poznawać tajemnice państwowe, muszą go sprawdzić służby. Bez tego nie mógłby dostać stosownej bumagi. No i żeby służby nie czepiały się Karolka o wyłudzenie mieszkania (wszak żadnych rachunków ani przelewów „na łączną kwotę 120 tys. zł" nie było i nie ma), postanowił on (trochę po czasie, ale zawsze) sprokurować sobie poświadczenie dziadka, że się nim opiekuje. Aby takowe dostać, złożył oświadczenie, że oto całkowicie i w zupełności bierze go sobie na utrzymanie, w zdrowiu i chorobie, łącznie z trumną. Było to przed czterema laty. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że ze swojego zobowiązania Nawrocki ni w ząb się nie wywiązał.

Miasto Gdańsk, sprawujące opiekę nad dziadkiem, wystąpiło na razie o zwrot kosztów. Wystąpi zapewne również o zwrot bonifikaty, która została za pomocą bezczelnych machinacji Nawrockiego po prostu wyłudzona razem z mieszkaniem. Dzieci dziadka w swoim czasie zapewne doprowadzą do unieważnienia testamentu i kto wie, czy nie odzyskają mieszkania jako mienia bezprawnie przejętego przez Karolka. Bezczelne i kłamliwe „umowy notarialnie" sąd bowiem zapewne unieważni.

A sam Nawrocki w najlepszym razie straci wyłudzone mieszkanie, a w najgorszym pójdzie siedzieć. Czego mu gorliwie i szczerze życzymy.

Wszystko to jednak potrwa kilka lat. Młyny sprawiedliwości mielą powoli, zwłaszcza w Polsce Ocena moralna jest już jednakże gotowa dzisiaj. A brzmi ona tak: pogarda dla prawa, pogarda dla człowieka, bezwzględna chciwość i bezwstydne udawanie dobroczyńcy przez drapieżnego oszusta i wydrwigrosza. Szkoda na niego atramentu i prądu w komputerze.

JAN HARTMAN

GADMAN

Halo, Znów przyszłość wybiorę

Kiedy patrzę hen za siebie, w tamte niedziele wyborcze, mogę jedynie westchnąć melancholijnie. Miałem w życiu wyborczego farta. Nie dane mi było dramatycznie hamletyzować, dręcząc się, na kogo oddać mam swój cenny głos. Nie plułem sobie w brodę, jak wielu znanych mi, kiedy okazywało się, że mój wybranek nie spełnił oczekiwań.

Z poczuciem pełnej wolności i świadomości wyborczej zacząłem głosować w 1990 r. Miałem wtedy 33 lata. W tym wieku Napoleon Bonaparte dowodził już armiami, a Jezus Chrystus zmartwychwstał i wyemigrował do nieba, aby objąć tam posadę Syna Bożego. Obaj nie przeszli demokratycznej procedury wyborczej, starając się o pełnione przez siebie funkcje.

Najmniej rozterek miałem podczas wyborów parlamentarnych. Najpierw kumotersko głosowałem na lewicowych „komuchów". Potem też preferowałem listy lewicy. Ale wtedy zawsze wybierałem to mniejsze zło.

Łatwy wybór

Pierwszy raz kandydowałem do sejmu w 1997 r. Wtedy też zagłosowałem na siebie. Świadomie, bo znałem siebie lepiej od innych kandydatów. Byłem pewny, że nie oszukam siebie przy wypełnianiu mego oświadczenia majątkowego. Znałem mniej więcej swoje poglądy polityczne i ideowe. Akceptowałem je nawet. Znałem swój stosunek do wykonywania powierzanych mi obowiązków. Swoje wady, zalety, skłonności do nałogów. Wiedziałem, że nie idę do sejmu z żądzy pieniędzy. Miałem wtedy już własne duże mieszkanie, wygodny samochód, nawet garnitur znanej francuskiej marki. Miałem, bo jako zastępca redaktora naczelnego „NIE" zarabiałem wtedy niczym telewizyjna gwiazda. I jeszcze dorabiałem sobie, pisząc cotygodniowe felietony do kilku innych pism. Jak żydowski krawiec szyjący nocami dodatkowe portki.

Mogłem skutecznie głosować na siebie, bo od 1997 do 2023 r. kandydowałem do sejmu z okręgu warszawskiego. Tam, gdzie rzeczywiście mieszkałem. Zawsze z list lewicy. Zwykle z ostatniego miejsca na liście. Czterdziestego.

Dlatego przed zakreśleniem krzyżyka przy wybranym przeze mnie swoim nazwisku musiałem przeczytać aż całą listę pozostałych kandydatów. Podobnie jak moi Wyborcy. Ale dawali radę, bo zwykle głosowali na mnie Czytelnicy tygodnika „NIE". Czyli ludzie przywykli do czytania dłuższych tekstów i ze zrozumieniem.

Dzięki nim byłem posłem trzech kadencji. Potem wpisywano mnie na listy wyborcze, abym wabił niczym syrena moich nadal żyjących fanów. Dzięki ich głosom i oddanych na podobnych mi kandydatów lista lewicy często pozyskiwała dodatkowy mandat poselski. Zwykle dla młodszych, bardziej aktywnych politycznie kandydatów.

Inaczej bywało podczas wyborów na prezydenta RP. Nigdy nie kandydowałem na ten urząd. Zatem nie mogłem głosować na siebie. To sprawiało, że co pięć lat miewałem jednak te przedwyborcze rozterki.

Dość sojuszu patoelit

Czy nie zastanawiasz się czasem, co jest grane, że im dłużej trwają na świecie rządy neoliberalnego kapitalizmu przystrojonego w pozory demokracji (czyli takie, jakie mieliśmy do tej pory w krajach tzw. Zachodu), tym silniejszy jest wobec niej opór? Opór, który przejawia się przede wszystkim w postaci reakcji nacjonalistycznej i konserwatywnej? Tak dzieje się od połowy lat 70. niemal na całym świecie. Tak dzieje się także w Polsce w zasadzie od początku transformacji – nacjonalistom, nazistom i konserwie wciąż rośnie. A tak na marginesie: wiem, co powiecie. Powiecie, że przecież w tzw. międzyczasie w większości państw Europy rządzili także socjaldemokraci (tzw. trzecia droga). Owszem, ale przecież ich polityka nie była niczym innym jak czystym neoliberalnym kapitalizmem okraszonym odrobiną polityki zwanej społeczną. Farbowane lisy!

Wniosek z powyższej obserwacji jest oczywisty. Polityczną siłę populistycznej prawicy w Europie i USA wyhodowano polityką, jaka była faktem w ostanim półwieczu: polityką narastających nierówności. Umacniające się patoelity versus pogardzany lud i pauperyzowana inteligencja. Kiedyś będąca na marginesie populistyczna prawica i neofaszyści dziś stali się realnym politycznym problemem dla Niemiec, Francji, Polski, Włoch, Stanów Zjednoczonych i wielu innych państw tzw. Zachodu.

No i co teraz? Dokąd to zmierza? Niebawem idziemy wybierać prezydenta. Jeśli oglądacie sondaże, to możliwe, że (podobnie jak mnie) ogarnia Was także przygnębienie. Liderzy sondaży nie są z mojej bajki. Od 20 lat każde kolejne wybory są świętem PO–PiS: takie polityczne dożynki, czyli święto plonów indukowanej wzajemnie nienawiści.

Nie ma co udawać, że w tych wyborach wszystko się może zdarzyć i że już tym razem doznamy radosnego zaskoczenia. Niestety PO–PiS będzie triumfował. Ale istnieje optymistyczna opowieść o przyszłości, która może brzmieć jak bajka, chociaż ma szansę stać się rzeczywistością – bo warto wierzyć, że bajki tak jak wszystkie utopie mają siłę, by zmieniać świat.

Bajki bajkami, ale na razie zobaczmy, jak jest.

Dwa skrzydła formacji zwanej PO–PiS (kiepscy i jeszcze gorsi) od lat walczą ze sobą o wymianę elit. Mające już 20 lat hasło TKM (Teraz, Kurwa, My) obowiązuje w tym gronie do tej pory. Zwróćmy jednak uwagę, że rywalizację, a w zasadzie wojnę, prowadzą te ugrupowania między sobą na „światopoglądowym" polu bitwy. Oligarchów zostawiają w spokoju, a ważne sprawy publiczne mają w dupie. Można to pole walki nazwać też dowolnie inaczej, ale wiecie, o co chodzi: nacjonalistyczna duma narodowa, prawa kobiet, aborcja, Kościół, edukacja seksualna, emigracyjne fobie, LGBT-y itd. Jedni i drudzy mają nadzieję, że dopóki wyborcy są ostro podzieleni w tych kwestiach (o co starannie zabiegają), to dzięki zasadzie „dziel i rządź" ich władza jest zapewniona. Przy okazji kolejnych wyborów jedni i drudzy z myślą o zwycięstwie w wyborach

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Długaśna „finałowa" przedwyborcza debata prezydencka, poniedziałkowy wieczór. Tylko najbardziej pobudzeni telewidzowie śledzą akcję na ekranie. Żadna kandydatka ani żaden kandydat nie zaskakują: Biejat jest bystra, Senyszyn rozsądna, Zandberg utyskuje, Stanowski tumani, Jakubiak przestrasza, Mentzen przysięga, że będzie płacił alimenty, Braun jest jak z horroru, a Hołownia złotousty aż do mdłości.

Od początku debaty atakujący zaspanego Trzaskowskiego oszust Nawrocki w pewnym momencie stawia pytanie, czy kandydat Koalicji Obywatelskiej podpisałby nominacje ambasadorów: Polski w Waszyngtonie Bogdana Klicha i Polski w Rzymie Ryszarda Sznepfa.

Trzaskowski odpowiada wymijająco, że będzie o tym decydował, gdy zostanie prezydentem.

Panie Rafale, prezydent powinien mieć mózg i jaja! Ktoś, kto jest rozsądny i odważny, odpowiada: „Tak, podpisałbym" albo „Nie, nie podpisałbym". A nie pierdoli jak półprzytomny leniwiec.

eprasa.pl 4804903f86

tu mówi starość!

Rys. OBYWATEL JANEK

Najłatwiej było mi głosować w 1990 r. W pierwszej turze poparłem Włodka Cimoszewicza. Zdobył czwarty wynik i 9,21 proc. poparcia.

Niby to niewiele, ale swą dobrą kampanią wyborczą dowiódł, że polska lewica – skazana wtedy przez media głównego nurtu na polityczny zgon – ma szansę na przyszłość. Wynik Cimoszewicza pomógł rok później komitetowi Sojuszu Lewicy Demokratycznej w wyborach parlamentarnych. SLD uzyskał 11,9 proc. poparcia – drugi wynik po Unii Wolności – i 60 mandatów w sejmie. Został największym i najbardziej sprawnym intelektualnie opozycyjnym klubem. Dwa lata później SLD wygrał przyśpieszone wybory parlamentarne. Osiągnął poparcie 20,4 proc. Dało to 171 mandatów w sejmie i koalicyjny rząd z PSL.

Moja bezinteresowność

Podczas wyborów prezydenckich w 1995 r. też zagłosowałem na przyszłość polskiej lewicy. Na ówczesnego jej lidera Aleksandra Kwaśniewskiego. Zagłosowałem wtedy wielce ideowo, kierując się jedynie przyszłym dobrem. Polskiej lewicy i Ojczyzny mojej, czyli Polski.

Zagłosowałem bezinteresownie, wbrew osobistym korzyściom finansowym. Muszę przypomnieć, że prezydentura Lecha Wałęsy była dla tygodnika „NIE" i dla mnie też wielką kopalnią złota. Żyliśmy przez pięć lat kadencji Wałęsy jak pączek w maśle. Co tydzień szydziliśmy z „pana prezydęta" ku radości ponad półmilionowej rzeszy naszych sponsorów – Czytelników. Był to wyjątkowo łatwy i lekki chleb, bo prezydent Wałęsa i jego kancelaria sami dostarczali nam powodów do drwin. Zamienianych w zyski ze sprzedaży tygodnika.

Dzięki drwinom z Wałęsy dostawałem wtedy wysokie honoraria, sute diety w czasie delegacji służbowych i jeszcze sławę, która dała mi potem wygrane w wyborach parlamentarnych. Dziś jeszcze korzystam z dóbr materialnych nagromadzonych wtedy. Takiej renty poprezydenckiej.

Pomimo tak wymiernych korzyści w roku 1995 zagłosowałem w obu turach na Aleksandra Kwaśniewskiego. W pełni świadomie, że jego wygrana oznacza koniec mojego materialnego eldorado.

Znałem Olka Kwaśniewskiego wcześniej, był moim szefem w tygodniku „itd". Wiedziałem, że nie będzie źródłem zarobku dla tygodnika „NIE" i dla mnie też. Bo nie da nam tylu tematów do drwin jak Wałęsa i jego kancelaria. A kiedy redakcja „NIE" podjęła desperacką próbę drwin z prezydenta Kwaśniewskiego, aby dowieść, że nie ma dla niej świętych krów i tematów tabu, to zyskała jedynie niechęć i wrogość Czytelników.

I tak jedna kadencja Wałęsy była mi jak pięć tłustych krów. Niestety, potem przyszło 10 chudych krów dwuletniej kadencji Kwaśniewskiego. Pomimo tego zawsze na niego głosowałem. A nawet agitowałem innych, aby też tak uczynili.

W roku 2010 oddałem głos na kandydata lewicy Grzegorza Napieralskiego. Aby znów wesprzeć przyszłość lewicy. Przyszłość rychło pokazała, że Grzegorz wybrał inną formację polityczną. Chcieli go tam, bo uchodził za polityka popularnego, co dowiódł swą kampanią wyborczą.

W drugiej turze wyborów 2010 r. zagłosowałem przeciwko Jarosławowi Kaczyńskiemu. Na Bronisława Komorowskiego. Wtedy skutecznie.

W roku 2015 w pierwszej turze zagłosowałem na Magdalenę Ogórek, wtedy obiecującą kandydatkę SLD. Dałem jej głos, aby wesprzeć kolejną przyszłość lewicy. Jak było potem, szkoda pisać.

W drugiej turze zagłosowałem przeciwko Andrzejowi Dudzie. Na Bronisława Komorowskiego. W obu turach moje głosy okazały się nieskuteczne.

Zapewne łatwo zgadniecie, jak zagłosowałem w 2020 r. W pierwszej turze znów na kolejną przyszłość lewicy, czyli Roberta Biedronia. W drugiej turze znów przeciwko Dudzie, na Rafała Trzaskowskiego. Na pociechę rzec mogę, że Robert Biedroń przy lewicy pozostał.

Stąd do przyszłości

Aleksander Kwaśniewski, komentując swe skuteczne hasło wyborcze, czyli „Wybierzmy przyszłość", żartował, że powinno zostać wyryte na jego nagrobku. Ale zanim jego pokolenie zejdzie z tego najlepszego ze światów, trzeba będzie znów głos w prezydenckich wyborach oddać.

Znów zagłosuję i będę was do podobnego wyboru namawiał. Znów zagłosuję w pierwszej turze na lewicową kandydaturę. Tym razem mam wybór. Jak nigdy do tej pory. Aż troje kandydatów. Każdego znam co nieco i szanuję.

Nie zagłosuję na Adriana Zandberga. Choć lewicowy jest bezsprzecznie. Ma w głowie poukładane lewicowe poglądy. Mógłby być wzorcem ideowego polityka lewicowego. Niestety, jego ideowość nie łączy się ze skutecznością. Z gotowością do kompromisów. Zbrukania swej ideowej szaty dla zyskania częściowych zysków. Adrian sprawdza się jako sprawny opozycyjny parlamentarzysta. Pryncypialnie, aktywnie wyczekujący na nadejście fali poparcia dla jego lewicy. Ale ona, jak Mesjasz, ciągle nie nadchodzi. Nie wierzę, że mój głos teraz taką falę pobudzi.

Nie zagłosuję też na Joannę Senyszyn. Choć jej lewicowość jest bezsprzeczna. Choć ma w głowie poukładane, a jeszcze potrafi być ironiczna i autoironiczna wręcz. Czym bije Adriana na głowę.

Nie zagłosuję, choć znamy się z Joanną przynajmniej 25 lat. Byliśmy parlamentarzystami SLD w sanktuarium demokracji na Wiejskiej.

W czasie kampanii wyborczej Joanna zaprezentowała wszystko, co dawne SLD miało najlepsze. Kompetencje, wigor, skuteczność i poczucie humoru. Ale dawne SLD to czas przeszły dokonany. Formacja, która może młodszej lewicy doradzić, przestrzec przed głupstwami, zachwycić nawet żywotnością. Ale to młodsi, nie starówka SLD, muszą polską lewicę urządzić. Tworzyć ją wedle swoich oczekiwań, standardów, marzeń.

Dlatego zagłosuję na Magdę Biejat. Bezsprzecznie lewicowa. Z głową poukładaną jak jej lewicowi konkurenci. Ale bardziej skuteczną od Adriana. I czasem też ironiczną jak Joanna. Znów wybiorę wam i sobie przyszłość lewicy. Choć ta nowa lewica inna jest od mojego coraz bardziej oddalającego się w utopii czasu starego dobrego SLD.

PIOTR GADZINOWSKI

Zandbergiem w PO–PiS

ozdabiają swój wizerunek populistycznymi prezentami. Jedni chętniej rozdają je ludowi, drudzy biznesowi. Napisałam „prezentami", bo tak to w ich intencji ma wyglądać, ale czy prezentem można nazwać coś, co pochodzi z naszych pieniędzy (gros podatków to podatki od pracujących, a nie od biznesu), a należy się społeczeństwu jak psu micha? Więc tak sobie chłopcy z nami pogrywają, a tymczasem całkiem mają gdzieś:

– zapadającą się publiczną opiekę zdrowotną,
– brak mieszań i rosnące ceny,
– zniszczony system krajowego transportu publicznego,
– niedofinansowaną edukację i szkolnictwo wyższe,
– kulejącą naukę i ucieczkę naukowców oraz inżynierów do międzynarodowych korporacji,
– wysysanie z Polski patentów i wdrożeń,
– systemowy brak obiektywnych mediów,
– spadającą jakość sprzedawanej żywności,
– dekapitalizację energetyki (ciągle bez atomu i odpowiedniego udziału odnawialnych źródeł energii),
– zatruwane rzeki i wycinane lasy,
– brak skutecznej polityki zrównoważonego rozwoju regionalnego.

Czy system, który tak działa, może trwać wiecznie?! Widzimy, że nie! PO–PiS-owi robi się gorąco koło dupy. Antysystemowy wkurw rośnie i warczy coraz głośniej – nie tylko w Polsce.

Antysytemowcy są także wśród kandydatów obecnych wyborów prezydenckich. Oczywiście nic nie łączy Mentzena czy Stanowskiego z Adrianem Zandbergiem poza może jednym: wszyscy oni chcieliby obalić pasożytniczy układ, jaki stworzył i pielęgnuje PO–PiS. Żadnego sojuszu między tymi panami i ich politycznymi postawami nigdy nie będzie. Ciekawe jednak i zarazem zaskakujące wrażenie miałam, oglądając wywiad, jaki przeprowadził Stanowski z Adrianem Zandbergiem. Wywiad trwał prawie trzy godziny. Konserwatywny, prawicowo nastawiony Stanowski zaczął zadawać dość napastliwe pytania, ale z każdą odpowiedzią Zandberga tracił bojowy nastrój. Miałam wrażenie, że wiele merytorycznych argumentów Zandberga dociera jednak do Stanowskiego, a ten niekiedy – ku mojemu zdumieniu – daje mu się przekonać. Stanowski zdziwiony zobaczył, że antysystemowość nie musi mieć imienia prawicy – może być lewicowa.

Wynik obecnych wyborów prezydenckich najprawdopodobniej nie złamie jeszcze PO–PiS-u, ale dobry wynik kandydatów antysystemowych może podkopać ten 20-letni sojusz patoelit i stworzyć szansę na ich upadek w niedalekiej przyszłości. Te wybory to tylko ustawka pod wybory parlamentarne, ale właśnie dlatego, jeśli chodzi o przyszłość, wiele mogą zmienić.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

A teraz bajka:

Wyobraźmy sobie sytuację, że dla większości elektoratu stało się jasne, iż PiS i PO w kolejnych wyborach, z powodu istnienia poważnej konkurencji politycznej, nie mogą już być pewne sukcesu.

Mniejsze partie zrozumieją, że mają szansę szukać powodzenia poza koalicją z dotychczas dominującymi partiami PO i PiS. Złapią wiatr w żagle i poczują „zapach krwi". Sojusz PiS-u, który swe poparcie zdobywał populistycznym rozdawnictwem, z Konfederacją, która głosi radykalny kurs wolnorynkowy, będzie niemożliwy. Będzie to sytuacja, w której wyborcy dostrzegą, iż nie muszą już z bólem zgrzytających zębów iść głosować na mniejsze zło, czyli na któreś ze skrzydeł PO–PiS-u. Nie będą mieli poczucia, że głosując na inne niż PO–PiS-owe partie, marnują swój głos. Rozkład głosów będzie zupełnie inny niż w dotychczasowych wyborach. Być może powstaną nowe ugrupowania polityczne.

To byłaby całkiem nowa sytuacja dająca szansę lewicy społecznej na wyjście z wieloletniego politycznego impasu, a społeczeństwu szansę na realizację zaniedbywanej przez PO–PiS polityki społecznej i gospodarczej, o jakiej wyżej pisałam. Z wielu obserwacji preferencji społecznych wynika, że

oferta polityczna złożona przez wiarygodne (autentyczne) podmioty, które faktycznie podejmą się realizacji zaniedbywanych przez PO–PiS tematów, może liczyć na poparcie zdecydowanej większości społeczeństwa bez obaw o przewagę prawicowej czy nacjonalistycznej opcji politycznej.

W tej sytuacji problematyka światopoglądowa, prawa człowieka, prawa kobiet i wszelkich mniejszości przestaną być przedmiotem aż tak zażartych walk i waśni, jakie indukowane były przez duopol PO–PiS z powodów politykierskich.

Czy to koniec bajki? A może to wcale nie była bajka?

Bo tak serio to wszystko, co tu napisałam, oraz w moim przekonaniu wiarygodny i sensowny program partii i kandydata Razem jest powodem, dla którego oddam w niedzielę swój głos na Adriana Zandberga. Was także serdecznie do tego namawiam, bo jestem przekonana, że wsparcie w tych wyborach lewicowego antysystemowego polityka to jedyne mądre wyjście z tej głupiej sytuacji.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 4804903f86

Dekalog (anty)wyborczy

Dlaczego nie idę głosować

Gdyby wybory mogły coś zmienić, dawno by ich zakazano – ta trzeźwa diagnoza anarchistki Emmy Goldman przychodzi mi do głowy w kontekście obecnych wyborów prezydenckich. A może raczej bliższa jest parafraza najsłynniejszego powiedzenia Ferdka Kiepskiego: dla ludzi z moimi poglądami nie ma kandydata w tym kraju (ani, ma się rozumieć, kandydatki). Nie od rzeczy jest przywołanie „Świata według Kiepskich", bo kandydaci i kandydatki właśnie są rodem z tej komedii. Tyle że gdy już strażnik żyrandola zasiądzie w pałacu prezydenckim, nie będzie nam do śmiechu, przewiduję raczej płacz i zgrzytanie zębami. Ja w tej grze znaczonymi kartami nie zamierzam brać udziału…

Rzecz nawet nie w tym, że jedyna osoba, na którą mógłbym zagłosować i na którą głosują moi znajomi, Adrian Zandberg, nie ma żadnych szans na zwycięstwo. W najlepszym – jak kto woli: najgorszym – wypadku pokona Magdalenę Biejat, swoją byłą koleżankę.

Rzecz nawet nie w tym, że rola prezydenta w Polsce jest efektowna, ale nie efektywna: to premier kształtuje politykę państwa, nikt inny.

Rzecz nawet nie w tym, że lewica, na którą głosowałam w październiku 2023 r., zepchnięta została do roli pracownicy seksualnej Tuska, a jedyne, co jej się udało, to nachapać się stanowisk, często obsadzanych totalnymi nieudacznikami.

W czym rzecz, wymienię w dekalogu, wszak trwa sezon komunijny, oto moje dziesięć przykazań, ciut podobnych do tych, których ksiądz proboszcz prawie cztery dekady temu kazał mi się nauczyć.

①

Nie będziesz się fascynował personaliami w polityce. Generalnie polityków można podzielić na miernoty lub skurwysynów. Tylko nacisk społeczny może uczynić ich rządy sensownymi, a przynajmniej znośnymi.

②

Nie daj sobie wmówić, że kto nie głosuje, ten nie ma racji. Demokracja liberalna to system, w którym trzeba mieć nie tyle rację, co większość, a tę osiągają zwykle ci, co najwięcej zbiorą forsy na kampanię wyborczą.

③

Nie daj sobie wmówić, że trzeba głosować, aby móc potem krytykować włodarzy tego kraju. Krytykować można i trzeba zawsze, dotyczy to nie tylko niegłosujących, ale i pozbawionych biernego i czynnego prawa wyborczego, bo np. nie mają ukończonych 18 lat. Julki wyszły na ulice przeciwko Kaczorowi, choć w żadnych wyborach nie uczestniczyły.

④

Pamiętaj słowa Stalina, że nieważne, kto jak głosuje, lecz ważne, kto głosy liczy. Jeśli „kandydat obywatelski" Karol Nawrocki przejebie przy urnie, pisowcy w instytucjach mogą zarządzić dogrywkę przy zielonym stoliku.

⑤

Bądź pewien, że wybory prezydenckie to konkurs piękności. Prężenia się przed ślepiami kamer, noszenia pralek czy pompek na śniegu. Przymioty potrzebne, by wygrać wybory, mają się nijak do cech, jakie powinien mieć dobry prezydent takiego kraju jak nasz.

⑥

Pamiętaj, iż wybory prezydenckie są mocno spersonalizowane. Liczy się osobowość, wywarcie odpowiedniego wrażenia na elektoracie. Ważniejsze od programu – sprowadzonego do paru sloganów, o których się zapomni dzień po wyborach – jest wywarcie odpowiedniego wrażenia dobrze dobranym krawatem czy kiecką, odpowiednio poważne wyglądanie w szkiełku, cięte riposty wobec innych kandydatów czy dziennikarzy.

⑦

Zapomnij o nadziei, że krajem będzie rządził ktoś inny niż przedstawiciel PO–PiS-u. Polaryzacja służy Kaczyńskiemu i Tuskowi, choć obaj za bardzo wkurwiają obywateli, aby sam wystąpić ze swoimi kandydaturami (już próbowali i przegrali). W zasadzie w tylu kwestiach PiS i PO wymieniały się poglądami (a nieraz i ludźmi), że potrzeba dużej biegłości, aby je odróżnić od siebie. Kandydat PiS czy PO – jedno zło.

⑧

Nie pożądaj żadnego kandydata ani żadnej rzeczy, która jego jest. Prawdziwa władza leży gdzie indziej: w gabinetach miliarderów typu Brzoska, nie wspominając o dyrektorach ponadnarodowych korporacji. To oni z tylnego siedzenia będą dyktować decyzje prezydenckie.

⑨

Nie licz na to, że ktoś tam urzędujący w stolicy w pałacu prezydenckim zmieni twoje życie na lepsze. Nie dawaj mu legitymizacji władzy swoim głosem.

⑩

Pamiętaj: ktokolwiek wygra, i tak będzie mieć w dupie głos obywatela. Będzie się pławił w luksusach, wygłaszał orędzia na tle flagi polskiej (może w tandemie z unijną), służył partii, której struktury go wyniosły na urząd. A za parę lat będzie kombinować, jak załapać się na drugą kadencję.

Na najbliższe wybory prezydenckie jako zaprzysięgła lewaczka mam wyjebane. Zostaję w domu!

KAT

Skurcze Platformy

O ludziach, którzy się tęczowym nie kłaniają

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kampanijna nerwówka weszła w decydującą fazę. Liberalny beton, któremu pomimo solidnej orki na prawicowym ugorze nie chcą dygnąć sondaże, sięgnął po przemoc.

Niedawny wywiad Krzysztofa Stanowskiego z Rafałem Trzaskowskim z uwagi na rozwleczoną przez dwie godziny nudę miał szansę utonąć w ścieku medialnej papki, jednak stało się inaczej. Punktem zwrotnym przekomarzanki pomiędzy politycznym a dziennikarskim influencerem było pytanie do Trzaskowskiego o poparcie możliwości adopcji dzieci przez pary nieheteronormatywne. Beniaminek Donalda Tuska odparł szczerze, że pomysłu nie popiera. Nie pierwszy zresztą raz.

Czyste cięcie

Jego program wyborczy z 2020 r. przewidywał, że w ramach związków partnerskich możliwe byłoby przysposobienie dziecka jednego z partnerów przez drugiego partnera (tzw. przysposobienie niepełne, czyli adopcja biologicznego dziecka partnera). Trzaskowski wytłumaczył wówczas, że jego stanowisko dotyczy pełnej adopcji dzieci przez pary jednopłciowe, a nie regulacji dotyczących istniejących już relacji rodzinnych w związkach partnerskich. Za jednym zamachem zatkał więc gęby lewicowych aktywistów i wszystkich tych, którzy chcieli straszyć masowym najazdem gejozy na domy dziecka.

W wywiadzie Stanowskiego ukłonów w stronę tęczowych rodzin nie było. Trzaskowski nie powiedział, że na rozmowy o adopcjach przyjdzie czas, bo wpierw rząd musi załatwić kwestię związków partnerskich. Nie poddał rozważaniom opcji z poprzedniego programu wyborczego. On ten postulat zdekapitował. Zachowanie kandydata na prezydenta wywołało falę komentarzy w środowisku LGBT.

Stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza wystosowało list otwarty do Rafała Trzaskowskiego z propozycją spotkania z polskimi tęczowymi rodzinami, które wychowują dzieci, aby kandydat PO jeszcze przed pierwszą turą wyborów mógł dokonać refleksji, czy warto dzielić na gorsze i lepsze te osoby, o których głos zabiega. Magazyn „Replika" w swoich social mediach przypomniał, że w Polsce co najmniej 50 tys. dzieci wychowuje się w rodzinach, które tworzą rodzice tej samej płci.

Sprawę skomentowała transpłciowa aktywistka Maja Heban. „Nie pierwszy raz to mówi. Niemniej – Trzaskowski podobnie jak mnóstwo innych polityków z podobnymi poglądami po prostu nie rozumie, że równość małżeństwa bez możliwości adopcji to bardzo wyraźne, homofobiczne stawianie barier i dzielenie rodzin na lepsze i gorsze. Mega słabe" – napisała na X. Wszyscy, którzy te poglądy popierają, muszą być świadomi, że są krótkowzrocznymi, zaślepionymi partyjniactwem bolszewikami – tak przynajmniej twierdzą spuszczone przez obrońców platformianego kandydata ogary.

Trump, mieszkania i faszyzm

W odpowiedzi na stęki lewackiego niezadowolenia dziennikarz „Dużego Formatu" Damian Maliszewski opublikował w social mediach odezwę, której treść i konstrukcja odbierają apetyt na udział w drugiej turze. „Od wczoraj szeroko pojęta lewica, poseł Krzysztof Śmiszek, aktywiści, a nawet »Replika«, atakują Trzaskowskiego, że wyszła cała prawda o nim. Pan Śmiszek napisał: Szok. Chyba nigdy nie wypowiadałem się tak dosadnie o lewicy, jak mam zamiar wypowiedzieć się teraz. (…) Myślę, że dla osób o lewicowych poglądach szokiem jest to, że Pan Robert Biedroń z 20 proc. poparcia dla »Wiosny« doprowadził do jej rozpadu i klęski lewicy w ogóle. Zarżnął energię i potencjał młodych ludzi. Oczywiście przy pomocy Czarzastego, Zandberga i Żukowskiej. Szokiem jest, że lewica od lat gnije od środka. Od partyjniactwa, walki o stanowiska i od agresji na zasadzie: wszystko albo nic!" – oświadczył.

Dalej było o dochodach Śmiszka i Biedronia, szukaniu przy pomocy AI informacji o posiadanych przez nich mieszkaniach (w tym miejscu zalecam panu Maliszewskiemu sprawdzenie liczby nieruchomości Roberta Kropiwnickiego z PO) oraz: „Lewica od dawna oderwana jest od rzeczywistości i rozpędzona jak odrzutowiec gna po trupach do celu. Tylko to po trupach do celu doprowadziło do tego, że Konfederacji rośnie, że w USA wygrał Trump, że odradza się faszyzm". Na domiar złego, „polskie społeczeństwo nie jest gotowe na elektrowstrząsy, ale do lewicy to nie dociera". Wywód uwieńczył zaś Maliszewski stwierdzeniem: „Lewico, nie chcecie pomóc demokracji? Nie musicie, ale błagam, nie przeszkadzajcie".

Na litość nieboską, dajcie chłopu węgiel! Taka duża Platforma Obywatelska, a tak boi się malutkiej Lewicy...

Buju, buju platformiany wuju

To, że kolejny akt dehumanizacji środowisk LGBT stał się okazją do dokręcenia śruby środowiskom lewicowym, nie tyle dziwi, co śmieszy.

Paradoksalnie Platforma Obywatelska, która sama wepchnęła niezdecydowanych wyborców w ramiona Lewicy, zrobiła z nich stronę w emocjonalnych partyjnych ustawkach i okrzyknęła narcystycznymi, histerycznymi oszołomami, którzy w dupie mają demokrację. Bo demokracja w Polsce od 20 lat polega na niedopuszczeniu PiS-u do władzy. Jeśli wygra Nawrocki, dla środowiska LGBT nic nie zmieni się na lepsze. Jeśli zwycięży Trzaskowski, też nie zmieni się nic, ale wciąż będzie można te zmiany obiecać. Jeszcze nie teraz, bo jak napisał Maliszewski: „Dziś nie przewraca się murów jak za czasów Solidarności. Nie te czasy, nie ta mentalność". Przecież skoro obiecali, to będzie. Za pięć, 25, 75 lat, ale się dokona. Mimo to lewactwu nie dogodzisz. Wyjaśnią to w Tefałenie i na łamach „Wyborczej" etatowe autorytety, księża, artyści i komentatorzy liberalni.

Pieprzenie głodnych kawałków o braku gotowości społeczeństwa do zmian już dawno się przeżarło. Logicznie myśląca część tegoż społeczeństwa dostrzeże natomiast, że pod fasadą frazesu kryje się niesmaczny akt robienia laski Kościołowi.

Temu samemu, z którym Platforma Obywatelska rzekomo walczy, niestety za oręż mając dildo z sera, aby tylko sutannę posmyrać, a nie pobrudzić.

Zabawnie będzie patrzeć, jak przed drugą turą Trzaskowski zacznie puszczać oczko w stronę zglanowanych, bo 14-procentowe poparcie wypracowane wspólnie przez Biejat i Zandberga to potencjał nie w mąkę pierdział. Roman Giertych, ojciec założyciel niechlubnej Ligi Polskich Rodzin, napisał kilka dni temu na portalu X o wyborcach Zandberga tak: „Fajnego macie komuniści lidera. Tak lewicowy, że aż skrajnie prawicowy".

Platforma Obywatelska tak bardzo drży o wynik, że na kanwie demokracji duszącej bierze zakładników. A jak który wierzga, to robi z niego wariata. Można na tysiąc sposobów wyrazić swoją opinię i walczyć o elektorat. PO woli poświęcić ludzką godność części obywateli dla bezpieczeństwa własnej dupy. Do zobaczenia przy urnach, obywatelki i obywatele.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 4804903f86

Energetyczna powtórka z rozrywki

Nie macie wrażenia, że rząd Tuska gania się z własnym ogonem?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Ogromne pokłady gazu ziemnego na Morzu Bałtyckim” – takim tytułem walnął po oczach Onet. A potem dodał, że badania przeprowadzone przez brytyjską firmę Zenith Energy działającą na zlecenie kanadyjskiej spółki Central European Petroleum wykazały, że w rejonie odwiertu Wolin East-1 na Morzu Bałtyckim może znajdować się 16,5 mld m sześc. gazu ziemnego. Oczywiście kilka akapitów dalej stało, że to dopiero wstępne wyniki, a pełna interpretacja uzyskanych danych potrwa jeszcze kilka miesięcy.

Nikt jakoś nie pokusił się o to, żeby napisać, że te miliardy metrów sześciennych gazu to 10-miesięczne zużycie tego surowca w Polsce. Ani tego, że Polska z własnych złóż pozyskuje co roku 5 mld m sześć. gazu. Po co jednak zamieszczono zastrzeżenie dotyczące weryfikacji wstępnych wyników badań? Ano po to, żeby nie było takiej wtopy, którą już za rządów Donalda Tuska przerabialiśmy. Wtedy też było o gazie, który miał odmienić oblicze ziemi. Tej ziemi.

Łupki niepodległości

W kwietniu 2011 r. amerykańska Agencja Informacji Energetycznej opublikowała raport, który sklasyfikował Polskę na 11. miejscu na świecie pod względem zasobów gazu z łupków. W świat poszła wiadomość, że pod stopami mamy 5,3 bln m sześc. tego paliwa.

O koncesje na poszukiwanie wrośniętego w skałę gazu zaczęli zabiegać najwięksi potentaci światowi. Rząd Tuska się cieszył i opowiadał, że dzięki zyskom z gazu polscy emeryci będą tak bogaci jak emeryci norwescy. Bo całe zyski z paliwa wpłyną na specjalny fundusz emerytalny.

Jeszcze większe emocje zawartość polskich łupków wzbudziła w PiS. Nic w tym dziwnego, bo przecież partia ta od zawsze miała hopla na punkcie energetycznego wybicia się na niepodległość od Rosji.

„Staje przed nami sprawa o wymiarze narodowym. Jak zorganizować wydobycie gazu w Polsce, tak, żeby to służyło Polsce i Polakom. Mamy propozycję odnoszącą się do tej sprawy” – rozpoczął w sierpniu 2011 r. dzielenie skóry na białym niedźwiedziu Jarosław Kaczyński.

Pomysł pisowskiej ustawy łupkowej zasadzał się na tym, że miał powstać „fundusz dla przyszłych pokoleń”. Do niego trafiłby dochód z wydobycia gazu łupkowego, a sejm większością dwóch trzecich głosów decydowałby o przeznaczeniu tych pieniędzy. To po to, żeby – Boże broń – kasa ta nie poszła na doraźne łatanie dziur w budżecie.

Miesiąc później wyglądało to nieco inaczej. Kaczyński opowiadał, że miliardy z gazu pójdą na „fundusz rozwojowy, który będzie służył mniej więcej temu samemu, ale w szerszym zakresie, co otrzymywane przez nasz kraj fundusze europejskie. Te środki będą mogły być wykorzystywane także na wsparcie prywatnego biznesu, na różne inne przedsięwzięcia, które nie są przewidziane w przepisach europejskich. Będą to duże pieniądze, które pozwolą na duże przyśpieszenie rozwoju kraju. „W sprawie wydobycia gazu łupkowego nad naszym rządem będzie powiewała flaga biało-czerwona, a nie biała” – zakończył swój ówczesny spicz Jarosław Kaczyński.

Kwestię białej flagi wyjaśnił parę tygodni później pisowski ekspert od wszystkiego, co kryje polska ziemia – niegdysiejszy pisowski główny geolog kraju profesor Mariusz Orion Jędrysek. Zarzucił rządowi Tuska, że rozdaje koncesje niemal za darmo, bo kiedy odkryto złoża gazu łupkowego w Bułgarii, to amerykański koncern Chevron zaoferował za koncesję 300 razy więcej niż Polsce za podobną powierzchnię.

Gaz w gwizdek

Ponieważ w grudniu 2011 r. wiceministrem środowiska w rządzie Tuska oraz głównym geologiem kraju został były kolega Jędryska z rządu PiS Piotr Woźniak, mogłoby się zdawać, że narodowemu charakterowi gazu łupkowego nic nie grozi. W końcu zawiadywał nim PO–PiS. Minister środowiska Marcin Korolec, powołując pisowca na stanowisko, oznajmił, że Woźniak jest świetnym fachowcem.

Świetny fachowiec po trzech miesiącach dostał od Państwowego Instytutu Geologicznego oręż naukowy. PIG zaraportował, że nie mamy tyle gazu łupkowego, ile wydaje się Amerykanom, ale i tak jest go w cholerę, bo nawet 768 mld m sześc. Tego samego roku wydano 115 koncesji na poszukiwania gazu z łupków.

Tymczasem z powodu niebycia gazu tam, gdzie się spodziewano, już kilka miesięcy później zaczęły uciekać z Polski pierwsze zagraniczne koncerny, a w grudniu 2013 r. Woźniak przestał być głównym geologiem kraju. Wiceministrem też. Gazowy PO–PiS się rozpadł. Partia Kaczyńskiego na nowo mogła obsobaczać Tuska za łupki.

„Nawet jeżeli nie jest łupków tak bardzo dużo, to na pewno bardzo można zwiększyć wydobycie w kraju” – zakrzyknął w maju 2014 r. w Wysokiem Mazowieckiem prezes Kaczyński.

Tymczasem koncesje na poszukiwanie topniały. Wiercono ledwo co, a koncerny międzynarodowe znikały z dnia na dzień. W kampanii wyborczej w roku 2015 o łupkach nie wspominał już nikt. Ostatni odwiert wykonano w grudniu 2015 r.

Wiceministrem środowiska i głównym geologiem kraju został znów Jędrysek. Na czele PGNiG stanął zaś Piotr Woźniak. Odwierty na Pomorzu zalano betonem, wykonano rekultywację terenu i obsiano roślinnością pastewną. Z niegdysiejszych 115 koncesji zostało 20. Głównie Orlenu i PGNiG. W poszukiwania firmy wpakowały w ciągu paru lat 4 mld zł. Na tyle dużo, że gdyby była szansa na gaz, to by z niej skorzystały.

Znów z impetem

Niemal tuż po ostatnim ogłoszeniu odkrycia wolińskiego gazu Tusk uczestniczył w podpisaniu umowy pomostowej pomiędzy Polskimi Elektrowniami Jądrowymi a Konsorcjum Westinghouse-Bechtel.

„Dzięki wysiłkowi obu stron można ogłosić, że współpraca amerykańsko-polska w zakresie energetyki jądrowej ma się dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek wcześniej” – rozpływał się premier i dodał, że „jednym z najdonioślejszych wyrazów tej przyjaźni i współpracy będzie elektrownia jądrowa na moich Kaszubach. Prace ruszają z pełnym impetem”.

Tusk nie dopowiedział jednak, że z tym impetem ruszają już drugi raz. Wszak w 2009 r. jego rząd też ruszył z ogromnym entuzjazmem do budowy elektrowni atomowej. Była mowa o wielkim, wręcz cywilizacyjnym wyzwaniu.

Trzy lata później, we wrześniu 2012 r., na pytanie o termin uruchomienia pierwszego w Polsce bloku jądrowego prezes PGE Energia Jądrowa i PGE EJ1 Aleksander Grad odpowiedział: „To będzie 2024 rok. To jest projekt bazowy. Natomiast 2023 rok to wersja optymistyczna”.

Pierwsza polska elektrownia jądrowa miała mieć moc ok. 3000 MW, ale ostatecznie projekt atomowy zaplanowano jako dwie elektrownie o łącznej mocy 6000 MW. Ministerstwo Gospodarki stwierdzało, że budowa pierwszej elektrowni jądrowej nastąpi w latach 2019–2024, a kolejnego bloku – w latach 2025–2030.

W lipcu 2013 r. Grad uraczył naród informacjami, że PGE wprowadziła przedsięwzięcie elektrowni jądrowej na „realną ścieżkę realizacji”, a nowy harmonogram zakłada, że pod koniec 2024 r. będzie możliwość uruchomienia pierwszego bloku elektrowni jądrowej. „To realny harmonogram, ale bardzo napięty. Wymaga żelaznej konsekwencji po stronie inwestora, ale i administracji” – rzekł Grad.

31 stycznia 2014 r. – trzy dni po przyjęciu przez rząd programu energetyki jądrowej – Grad zrezygnował z kierowania PGE EJ1. Przewidywał on uruchomienie pierwszego bloku pierwszej elektrowni jądrowej do końca 2024 r. Jej koszt szacowano na 40–60 mld zł.

Do końca rządów PO–PSL największym sukcesem PGE EJ1 było bowiem zerwanie kontraktu z australijską firmą WorleyParson, która prowadziła badania środowiskowe i lokalizacyjne. Kontrakt z Australijczykami opiewał na 252 mln zł.

Po 10 latach jest tak, że rządzi Tusk, znów odkryto złoża gazu, a zamiast zrywać kontrakt z partnerem z antypodów, podpisujemy go z firmą zza Atlantyku. Déjà vu?

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● Nader ważnym filarem dobrze hulającej gospodarki są inwestycje. Zarówno te publiczne, jak i prywatne. Tymczasem według danych GUS inwestycje przedsiębiorstw zatrudniających co najmniej 50 osób zmniejszyły się w czwartym kwartale 2024 r. o 8,4 proc. w skali roku, to zaś oznacza cztery kwartały spadków z rzędu. Nad niskim poziomem ubolewają ekonomiści. A powinni się cieszyć, bo sytuacja ta pokazuje, że w polskim biznesie jest coraz mniej idiotów. Skąd ten wniosek? Ano stąd, że firmy pracują dziś na 77 proc. swoich możliwości, a jeszcze przed pandemią wykorzystywały moce przerobowe w 81 proc. Skoro zatem firmy jadą na trzy czwarte gwizdka, to po jaką cholerę miałyby inwestować w pracowników, którzy nic by nie robili, i maszyny, które zamiast pracować, obrastałyby kurzem, a na dodatek trzeba by spłacać za nie raty kredytu? Bo przecież żaden szanujący się przedsiębiorca nie będzie inwestował swojej forsy, tylko tę pożyczoną z banku.

● À propos. Hiszpański bank Santander pojawił się w Polsce w 2011 r., kupując od Irlandczyków bank BZ WBK. W 2013 r. Hiszpanie połknęli Kredyt Bank. W 2018 r. przejęli Deutsche Bank Polska i stali się trzecim największym kredytodawcą w naszym kraju. W 2024 r. polski Santander zarobił rekordowe 5,21 mld zł netto. Dlaczego więc hiszpański właściciel zdecydował się na sprzedaż banku? Bo się zdecydował, a nabywcą jest austriacki Erste Group, którego kosztować to ma 7 mld euro, czyli około 30 mld zł. Oficjalnymi powodami są korpobzdury dotyczące dywersyfikacji, maksymalizacji i optymalizacji. Oczywiście nikt w branży finansowej w to nie wierzy, bo polski Santander to wszak kura znosząca coraz bardziej złote jaja. Specjaliści wskazują jednak, że Santander ucieka z polskiego rynku głównie z powodu WIBOR-u. Hiszpanie widzą, co orzekają niektóre polskie sądy i TSUE. I widać są pewni, że kredyty oprocentowane stawką, której zasad nikt nie jest w stanie wyjaśnić kredytobiorcom, już wkrótce mogą być tym samym co kredyty we frankach – powodem unieważniania umów kredytowych i żegnania się banków z dochodami z odsetek. Więc po co Hiszpanie mają tracić, gdy znajduje się klient, na którego te niemiłe rzeczy spadną? Klient, który na dodatek zapłaci trzy razy tyle, ile kosztowało Santandera wejście do Polski.

● Niestety kupca nie znalazła sieć drogerii Pigment, która powstała w 2013 r. i specjalizowała się w sprzedawaniu kosmetyków naturalnych, ekologicznych i wegańskich. W szczytowym okresie Pigment prowadził trzy sklepy stacjonarne, zatrudniając ponad 70 osób. W 2021 r. firma rozszerzyła działalność o sprzedaż internetową. Od tej pory zaczęła się równia pochyła. W zeszłym roku sytuacja stała się krytyczna. Banki wypowiedziały linie kredytowe, a próby restrukturyzacji nie zyskały akceptacji wierzycieli. Zadłużenie spółki sięgnęło kilku milionów złotych, co doprowadziło do zamknięcia zarówno sklepów stacjonarnych, jak i internetowych. Dziś firma nie prowadzi już działalności. Jedyny lokal, który pozostał w jej posiadaniu, służy jako magazyn towaru zajętego przez banki. Tego wszystkiego nie wytrzymał właściciel Pigmentu, który parę tygodni temu wziął i umarł. Udowadniając, że repolonizacji w przypadku niszowych sieci drogeryjnych w Polsce nie ma, nie było i nie będzie, bo wszystko wykupują firmy o zasięgu światowym. Tak jest nie tylko zresztą w tej branży. Dowodzi tego choćby amerykańska sieć restauracji Popeyes, która chce do końca roku otworzyć w Polsce 23 lokale. Popeyes jest częścią Restaurant Brands International, sieci restauracji szybkiej obsługi, która ma na świecie ponad 32 tys. lokali.

● Ciekawe, jak w kontekście repolonizacji polskiej gospodarki należy patrzeć na to, że doszło do fuzji polskiej firmy Colian z niemiecką spółką Gubor Schokoladen. Polski producent jest właścicielem takich marek jak Grześki, Goplana, Jeżyki czy Śliwka Nałęczowska. Niemcy zaś mają słodycze takie jak Sun Rice, Rubezahl, Gubor, Friedel, Eichetti i Pomorskie Pralinki. Niemiecki producent jest znany również z czekoladowych Mikołajów i Zajęcy Wielkanocnych. Dzięki fuzji powstaje więc podmiot, który rocznie produkować będzie 85 ton słodyczy. Połączenie ma nie wpłynąć na zatrudnienie. To zaś wynosi dziś 4 tys. 200 pracowników, przy czym polska spółka zatrudnia dziś 2,5 tys. osób. Najgłębszą tajemnicą transakcji jest to, kto kogo kupił. Wygląda jednak na to, że Polacy są górą, choćby dlatego, że mają większy rynek zbytu. Colian obecnie eksportuje do ponad 70 krajów, a Gubor do 50. Wygląda więc na to, że to nie rząd, ale prywatny biznes repolonizuje, i to na dodatek gospodarkę Niemiec.

● Ale czy można zrepolonizować coś, co już jest spolonizowane? A takim czymś są media publiczne w Polsce, które wszak są finansowane z niepłaconego przez Polaków abonamentu RTV. Okazuje się, że można je zrepolonizować i nawet jeszcze bardziej upaństwowić. A wszystko dzięki Unii Europejskiej. Bruksela nakazała nam skorzystanie z Europejskiego Aktu o Wolności Mediów. Zgodnie z aktem państwa członkowskie UE mają obowiązek ustanowienia przejrzystych kryteriów finansowania dostawców publicznych usług medialnych, a nadawcy publiczni powinni dysponować odpowiednimi stabilnymi i przewidywalnymi zasobami finansowymi właściwymi dla realizacji ich misji publicznej i dla ich możliwości rozwoju w ramach tej misji. Skoro mają być stabilne, to – jak wykoncypowano w rządzie – nie mogą zależeć od widzimisię abonentów. Zniknąć ma zatem abonament, i to wcale nie dlatego, że zastąpi go jakaś pobierana od posiadaczy odbiorników opłata audiowizualna. Rządowa koncepcja nie przewiduje wprowadzenia jakichkolwiek nowych opłat obciążających obywateli. Rekomendowanym źródłem finansowania misji nadawców publicznych ma być budżet państwa. Ten, na który zrzucamy się choćby VAT-em, PIT-em i akcyzą. Budżet zaś z gumy nie jest, więc ciekawe jest to, czy żeby mieć pieniądze na media publiczne, państwo wymyśli całkiem nowy podatek czy podniesie któryś z już istniejących.

TTJ

eprasa.pl 4804903f86

Uchronić przed „dobrodziejami”

Macie w nosie lokatorów

SŁOWO CZERWONE

Lokatorzy stali się ważnym argumentem w debacie politycznej. Zacznijmy od pani Joanny Senyszyn, która ma sześć mieszkań, ale ich nie wynajmuje, bo to jest lokata kapitału. Teraz każdy kandydat, urzędnik wyższego szczebla czy poseł musi się spowiadać z liczby posiadanych mieszkań. Dlaczego? Bo większości ludzi w Polsce nie stać na kupno czy wynajem mieszkania. Większość polityków to ludzie zamożni. Dla nich pokusa inwestowania w mieszkania jest nieodparta. Bo ich ceny stale rosną, a parlament nie robi nic, aby staniały. Dlaczego? Bo elita finansowa nadreprezentowana w sejmie nie chce, by ich mieszkania (lokaty) staniały. Chcą wciąż zarabiać, a nie tracić. W samej stolicy jest 207 tys. pustych mieszkań. Kiedy patrzymy na dźwigi, place budów, musimy sobie uświadomić, że duża część budowanych lokali to nie miejsca, gdzie ktoś zamieszka, tylko lokaty.

Celem gospodarki socjalistycznej było zaspokajanie rosnących potrzeb społecznych. Celem gospodarki rynkowej jest zysk. W budownictwie i deweloperce nie chodzi więc o zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych, bo na mieszkania ludzi nie stać. Kiedy się mury pną do góry, inwestorzy zacierają ręce, bo powstają kolejne puste mieszkania, na których będzie można zarobić. Nawet reklamy deweloperskie coraz częściej reklamują nowe osiedla jako miejsce korzystnych inwestycji, a nie miejsce, gdzie ktoś zamieszka.

Po aferze ze staruszkiem, któremu kandydat na prezydenta tak intensywnie pomagał, że gość trafił do domu opieki, a jego mieszkanie – w ręce pomagającego, neoliberalny establishment zaczął wykazywać nieumiarkowaną i nietypową dla niego troskę o los ludzi starszych i niezamożnych. Pytają mnie co i rusz, jak zapobiec, by cwaniacy, korzystając z biedy starszych ludzi, nie pozbawiali ich mieszkań.

Odpowiedź jest prosta, ale dla liberałów nie do przyjęcia: trzeba tak zreformować system pomocy społecznej, system emerytalny i rentowy, aby nie było staruszków, którym brakuje na życie.

Trzeba by na przykład zlikwidować umowy śmieciowe, tak aby ludzie po ciężko przepracowanym życiu nie kończyli z zasiłkiem stałym w kwocie niewiele większej niż 1000 zł. Trzeba podwyższyć kryteria dochodowe do zasiłków z pomocy społecznej, tak żeby starszy człowiek mógł opędzić niezaspokojone potrzeby zasiłkiem, a nie chwilówką, czyli pożyczką na lichwiarski procent.

W sytuacji, kiedy człowiek rezygnujący z wykupu leków z braku pieniędzy ma mieszkanie warte np. pół miliona złotych, pojawia się pokusa, aby tym swoim „olbrzymim majątkiem” zahandlować. A ludziom posiadającym nieruchomość „dobrodzieje” chętnie pożyczają, bo dłużnik ma zabezpieczenie w postaci domu czy mieszkania. Żeby takie złote interesy przestały kwitnąć, wystarczy wprowadzić przepis, że jedynego dachu na głową, skromnego domu czy mieszkania nie wolno licytować czy w inny sposób przejmować za długi. I kiedy jedynym sposobem odzyskania pożyczonych pieniędzy będzie ściągnięcie przez komornika jednej czwartej emerytury czy renty, skończy się czas „dobrodziejów”.

Wreszcie równie ważne jest sprowadzenie cen mieszkań do normalnego poziomu. To będzie możliwe tylko, jeśli dla drogich deweloperskich mieszkań powstanie alternatywa w postaci mieszkań na każdą kieszeń. Mieszkań społecznych z regulowanym czynszem.

Ale przecież ta sama neoliberalna elita, która tak zatroszczyła się o pana Jerzego i wszystkich biednych staruszków i staruszki, blokuje fundusze na budownictwo. A skąpiąc pieniędzy na pomoc społeczną, toruje drogę lichwiarzom do kieszeni biedaków.

Rys. WIDGET

Nie ma takiej konstrukcji prawnej, która uchroni biedaków przed lichwą ze strony tzw. inwestorów. Żeby zlikwidować proceder pozbawiania biednych starych ludzi dachu nad głową, ci na górze muszą zacząć dzielić się częścią swego bogactwa z tymi na dole. Polska według badań zespołu Thomasa Piketty'ego jest najbardziej rozwarstwionym krajem UE. Rynek mieszkaniowy nakręcający spiralę spekulacyjną te nierówności jeszcze powiększa.

Krokodyle łzy wylewane nad losem jednego staruszka nie mogą nam przesłonić faktu, że chodzi o wygraną w wyborach prezydenckich, a nie ulżenie losowi biednych ludzi. Wiadomo, że w pewnym wieku większość z nas nie może już pracować, ale wciąż musi jeść. Dlatego konieczne jest wprowadzenie emerytury obywatelskiej na poziomie pozwalającym na godne życie. Ale na taką reformę muszą się zrzucić ci, którzy tak nagle i tak koniunkturalnie pokochali biedaków i potencjalne ofiary jakiegoś następnego „dobrodzieja” Nawrockiego.

W świecie, w którym ustawy uchwalają ci, którzy najbardziej korzystają na niesprawiedliwym podziale dochodu narodowego, starsi ludzie o niskich dochodach pozostaną bezbronni.

Każda reforma, która choć trochę ograniczyłaby zyski deweloperów i właścicieli pustych mieszkań, napotka na zaciekły opór partii politycznych, których kampanie finansują deweloperzy. Politycy wysługują się bogaczom, którzy zrobili kasę na deweloperce. Służą nababom, a nie swoim wyborcom. Dlatego trzeba się bacznie przyglądać tym, którzy udają, że się troszczą o nas. Mają nas w nosie i łaszą się do tych, którzy głośniej potrząsają sakiewką.

Pan Jerzy padł ofiarą systemu, który to, co mu zrobiono, czyni całkowicie legalnym. Aby takie rzeczy się nie zdarzały, trzeba ten system zmienić. Ale nie zrobi tego ani Karol Nawrocki, ani chwilowy obrońca staruszków Rafał Trzaskowski.

PIOTR IKONOWICZ

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ 32-letni mieszkaniec Wrocławia przyjechał pociągiem do Warszawy. Na miejscu obserwował starszych mieszkańców w sklepach i na bazarach, a następnie śledził ich do domów. Pod pretekstem pomocy przy wniesieniu zakupów lub oferując naprawy jako rzekomy hydraulik, zdobywał zaufanie seniorów i wchodził do mieszkań. Tam kradł portfele, kosztowności oraz dokumenty. Wartość skradzionych przedmiotów sięgała kilkudziesięciu tysięcy złotych. Podczas przesłuchania zapytano go, dlaczego nie zdecydował się na podobne działania w innych miastach, takich jak Poznań czy Kraków, dokąd bilety PKP są tańsze, bo odległość mniejsza. Odpowiedział, że spośród wszystkich mieszkańców Polski najbardziej nie lubi Warszawiaków. Niegodziwe, ale dobrze uzasadnione.

▮ W rezerwacie przyrody Beka nad Zatoką Pucką po raz pierwszy w Polsce zaobserwowano dorosłego żurawia kanadyjskiego (*Antigone canadensis*), gatunek powszechny w Ameryce Północnej. Żuraw kanadyjski wywołał prawdziwą euforię wśród miłośników żurawi i naukowców od ptaków. Kanadyjczyk charakteryzuje się szarawym upierzeniem, długimi nogami i szyją oraz czerwoną czapeczką na głowie. Ma białe policzki i czarny dziób. Głos ma donośny i zgrzytliwy (jak wiecie kto) – co wyraźnie odróżnia go od naszego żurawia zwyczajnego (*Grus grus* – czyli żuraw żuraw). Amerykanin jest zatem o wiele bardziej skomplikowany. Oba gatunki ptaków wykluwają się z jajek.

▮ Mieliśmy swój skromny udział w napadzie Indii na Pakistan 7 maja. Do zabijania Pasztunów użyto polskich dronów Warmate 3.0, których Hindusi zakupili około 120 przypuszczalnie po 54 tys. dol. za sztukę. Polski dron jest w stanie trafić matkę z dzieckiem w wózku, z dokładnością do 1,5 m przy prędkości 150 km/h. Śmierć w takich warunkach jest praktycznie niezauważalna i bezbolesna. Rząd Indii podkreśla jednak, że na razie nie zabija cywilów, a wyłącznie nieumundurowanych terrorystów. Taki precyzyjny atak jest możliwy dzięki zastosowaniu w polskim dronie algorytmów sztucznej inteligencji.

▮ Lekarze ze szpitala im. T. Marciniaka we Wrocławiu uratowali dwuletniego chłopca, który trafił do placówki z udarem mózgu. Przeprowadzono trombektomię – zabieg polegający na mechanicznym usunięciu skrzeplin w naczyniach krwionośnych. Chłopiec żyje. Udar mózgu u dzieci jest niezwykle rzadki. Prawdopodobieństwo jego wystąpienia przed 18. rokiem życia wynosi 0,0012 proc.

▮ Mieszkańcy podwarszawskiej gminy Wiązowna są bombardowani przez aplikację mObywatel komunikatami o rzekomych zaległościach podatkowych, choć – jak się zdaje – żadnych zaległości nie ma. Przerażeni ludzie dzwonią i piszą do urzędu. Zawracają głowę urzędnikom. Zajmują czas. Urzędnicy tłumaczą, że z powodu bardzo dużej liczby wpłat, spiętrzenia obowiązków przy wymiarze podatków oraz braków kadrowych w wydziale podatków nastąpiły opóźnienia w księgowaniu. Przez to informacje z mObywatela mogą być nieprawdziwe. Problem jednak się zapętla. Fałszywe komunikaty generują więcej pytań, przez co urzędnicy mają jeszcze mniej czasu na księgowanie, a system wysyła jeszcze więcej wezwań do zapłaty. Błędne koło informatyki, która zamiast ułatwiać, przysparza pracy.

▮ Karambol bawarskiej blachy pod Toruniem. Kierowca pierwszego BMW gwałtownie zahamował. Cztery inne pojazdy tej samej marki najechały kolejno na swoje zderzaki. Jeden delikwent trafił do szpitala na obserwację, pewnie sprawdzić, czy mózg nie ucierpiał. Policja ze swą przenikliwością godną Sherlocka Holmesa orzekła niedostosowanie prędkości. Ot, typowy obrazek z polskiego eldorado, gdzie BMW to nie samochód, a przedłużenie penisa, a droga – pole bitwy o honor i miejsce parkingowe pod dyskoteką. Ewolucja działa, tylko wolno. Za wolno.

▮ Mimo że kalendarz niemal krzyczy, że lato, w Tatrach zima wróciła z impetem. W minionym tygodniu nastąpił atak chłodu rodem z północnej Syberii. W nocy spadł śnieg, a mróz ścisnął górskie doliny i szczyty. Biało zrobiło się nad Morskim Okiem, na Hali Gąsienicowej, w Dolinie Pięciu Stawów i – rzecz jasna – na Kasprowym Wierchu. W dolinach temperatura spadła do –5 st. C, na szczytach – jeszcze bardziej bezlitośnie: poniżej –10 st. C. Takie arktyczne „hekatomby” mogą nawracać aż do sierpnia. Lepiej ruszyć na wybrzeże albo do krainy wielkich jezior, gdzie takich pogodowych wybryków po prostu nie ma. Weźcie to pod uwagę, planując wakacje. Chyba że marzy wam się lato w kurtce puchowej i rakach.

▮ Ach, te kieleckie elity! Bartłomiej Zapała, były wiceprezydent Kielc, wraz z żoną pojechał służbowo do Bobigny pod Paryżem. Wyjazd organizował Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie, a koszt wyniósł 12 tys. zł. Kolejny wyjazd – tym razem do Grecji na 112. rocznicę wyzwolenia Janiny – odbył zatem prywatnym autem też z członkiem rodziny. Prokuratura w Kielcach bada sprawę w kierunku działania na szkodę interesu publicznego i przekroczenia uprawnień. Zapała zwrócił pieniądze. To może być okolicznością łagodzącą, ale też obciążającą, bo to de facto przyznanie się do winy. W Polsce wciąż trudno niektórym zrozumieć, że jak złodziej odda łup, to nie znaczy, że nie idzie siedzieć. I nie chodzi tylko o Zapałę, ale i o pewnego europosła, byłego ministra rolnictwa, co na europarlamentarne wycieczki jeździł ciągnikiem siodłowym.

▮ Natomiast olsztyńska prokuratura prześwietla 23 lata rządów burmistrza Mikołajek Piotra Jakubowskiego (nadal urzędującego). Stowarzyszenie Kompas oskarża go o bliskie związki z deweloperami i nadużycia władzy. Sam Jakubowski mówi o uporczywym nękaniu. Wątpliwości budzi m.in. sprzedaż własnej działki, której wartość po zmianie planu zagospodarowania wzrosła ponad 10-krotnie. Burmistrz zwlekał z opłatą planistyczną. Prokuratura bada też legalność budowy browaru prowadzonego przez żonę burmistrza, który dostał 2 mln zł dofinansowania mimo wadliwego pozwolenia na budowę. Kolejny wątek: wydzierżawienie nabrzeża w Wiosce Żeglarskiej sąsiadowi burmistrza za symboliczne 18,5 tys. zł, co mogło narazić miasto na milionowe straty. A jednak! Burmistrz wygrywa kolejne wybory, ciesząc się społecznym zaufaniem. Czyż szydercy mogą cokolwiek zarzucić takiemu cudotwórcy? Czyż nie jest on niczym papież (nasz papież), który umarł w opinii świętości?

▮ Pracownicy poznańskiego zoo nie kryją oburzenia po tym, co odkryli na wybiegu mrówkojadów. Podczas rutynowego sprzątania natrafili na zasraną dziecięcą pieluchę. Zużyta pieluszka mogła być dla jedzących mrówki zwierząt śmiertelnie niebezpieczna – podkreślają. Sprawa trafiła do miejscowych mediów, które jak zwykle nie są obiektywne i trzymają stronę ssaków. W tej całej płaczliwej historii zabrakło bowiem troski o najsłabszych, czyli o mrówki. Taki mrówkojad, który nie zadławił się obesraną celulozą, dzięki swojemu długiemu, lepkiemu językowi (nawet 60 cm długości) może bardzo szybko zbierać owady – do 150 liźnięć na minutę, niszcząc 30 tys. mrówczych istnień dziennie. Podczas całego swojego życia morduje więcej żywych istot niż holokaust.

Rys. WIDGET

▮ Jak to określiły miejscowe media, legendarny napis „Karola nie ma w domu talerzy, bo dom talerzy jest zamknięty” wrócił pod Trasę Zamkową w Szczecinie po siedmiu latach nieobecności. Zamalowany w 2018 r. uchodził za symbol szczecińskiego street artu i przez dekady owiany był aurą zagadki. Autorka, pani Sylwia, ujawniła w końcu jego genezę: to absurdalne zdanie powstało spontanicznie w 1991 r. w pustym mieszkaniu, w którym – jak sama mówi – nie było ani Karola, ani talerzy. Trudno nie zauważyć, że zarówno sama autorka, jak i osoby odpowiedzialne za odmalowanie tego napisu, prezentują podobny poziom nierozgarnięcia. Ale że w Polsce od zawsze lubimy wznosić nonsensy na piedestał, nic dziwnego, że i to dzieło zyskało status kultowego.

▮ Polska moneta – 100 dukatów Zygmunta III Wazy z 1621 r. – została sprzedana 10 maja w Norwegii za ok. 9 mln zł. To jedna z najdroższych monet świata, najprawdopodobniej kupiona przez prywatnego kolekcjonera z Polski. Moneta waży 350 g, ma 70 mm średnicy i została wykonana przez rytownika Samuela Ammona. W Polsce zachowały się dwa egzemplarze – w Muzeum Czapskich i na Wawelu w Krakowie. Studukatówka uchodzi za najcenniejszą monetę w Europie. Świetnie! Ktoś właśnie zapłacił tyle, co za apartament w centrum Warszawy, żeby mieć coś, czym nawet nie można zapłacić w Żabce. Przyczyna? Patrz: poprzednia notatka.

▮ W Nysie na siedmiohektarowej działce przy ul. Otmuchowskiej wybudują szpital. Ma rozpocząć leczenie w drugiej połowie 2028 r. – na 15 oddziałach i w 388 łóżkach. Koszt inwestycji może sięgnąć 900 mln zł. Powiedzmy sobie szczerze: wyrzucanie forsy w nieszczęścia i choroby… No bo pacjenci, jak to pacjenci – zawsze będą narzekać. A za te pieniądze można by kupić 11 czołgów Abrams, które na defiladach prezentują się kozacko, a nie jak staruszek po wylewie albo kobiecina po mastektomii.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej, gdzie prawda jest bardziej giętka niż gimnastyczka na olimpiadzie. W zależności od regionu może przybierać różne kształty, kolory i zapachy. Wyciąganie generalnych wniosków, zwłaszcza prawnych, grozi poważnymi konsekwencjami, takimi jak utrata złudzeń, wiary w ludzkość i chęci do życia. Zatem z tymi wnioskami to ostrożnie.

eprasa.pl 4804903f86

Wszystkie mieszkania Trzaskowskiego

Rys. MARCIN CHUDZIK

Tradycją polskich wyborów – czy to parlamentarnych, czy prezydenckich – jest pokazowy rzut granatem ręcznym w kierunku któregoś z kandydatów plus minus tydzień przed tym, zanim zbierzemy się przy urnach wyborczych. Najczęściej wybierany kaliber to rzecz jasna skandale finansowe – tygodniami skrzętnie tropione przez jakąś redakcję, która trzyma ten rozpalony węgielek w dłoniach, aby wypuścić go z dłoni w najbardziej opłacalnym momencie. Tegoroczna zadyma była dość wyjątkowa, jako że nie poszło o defraudację państwowej kasy w najbardziej klasycznym wydaniu typu przytulenie kilka baniek z jakiegoś funduszu. Temat okazał się drażliwy, bo poszło o nieruchomość. I to nie o willę na Marymoncie, ale o skromną kawalerkę w Gdańsku. Dokładnie to o komunalną kawalerkę, którą Karol Nawrocki miał nabyć w ramach transakcji za dożywotnią opiekę nad lokatorem tej nieruchomości, 80-letnim panem Jerzym. Większość czytelników całą historię na pewno doskonale zna, dodam więc tylko, iż kawalerka okazała się aktualnie bez pana Jerzego w środku, ponieważ pan Jerzy mieszka obecnie w DPS-ie i z tego, co sam deklaruje, Karol Nawrocki nigdy stanem jego zdrowia od dnia wspomnianej transakcji się nie interesował.

Pominę w tym momencie historię krętactwa Nawrockiego wokół tej kawalerki: fakt, że nie było jej oryginalnie w jego sprawozdaniu finansowym, zeznania kandydata PiS-u sprzeczne z zeznaniami pana Jerzego i to, że ostatecznie Nawrocki w ramach zadośćuczynienia postanowił ufundować emerytowi nagrobek, gdy ten już znajdzie się po drugiej stronie (nawet jeśli to ostatnie jest na tyle obrzydliwe i zabawne zarazem, że aż się prosi o kpinę). Nie chcę, żeby ktokolwiek źle mnie zrozumiał – to, czego dopuścił się Karol Nawrocki w stosunku do pana Jerzego, jest skandaliczne, słusznie opluwane, a jednocześnie dość dobrze obrazuje to, co się dzieje w Polsce z mieszkaniami komunalnymi oraz ich mieszkańcami, kiedy ci doczekają wieku, w którym stają się całkowicie bezbronni. Problem, jaki tu dostrzegam, leży w fakcie, jak opieszale – o ile w ogóle – rozliczamy z całkiem podobnych afer głównego oponenta Nawrockiego.

Gdzie te mieszkania?

Za każdym razem, kiedy mijałam owiane sławą bilbordy pytające nas z rozpaczą „gdzie są te dzieci?", miałam ochotę przeformułować to pytanie na „gdzie są te mieszkania"? Jest to jedna z tych wyjątkowych sytuacji, kiedy można odpowiedzieć na pytanie pytaniem – przy czym o ile dość często zastanawiamy się nad brakiem dzieci, to nad brakiem mieszkań już jakoś niekoniecznie, a na pewno niedostatecznie intensywnie. W atmosferze coraz większego kryzysu na rynku mieszkaniowym, który wyróżnia nas na tle państw europejskich, warto byłoby tych mieszkań jednak poszukać i w Warszawie niemałe pojęcie o tym, gdzie się one podziały, ma z pewnością Rafał Trzaskowski.

Kilka dni po nagłośnieniu flipa, jakiego dopuścił się Nawrocki, Stowarzyszenie Miasto Jest Nasze poinformowało o sprzedaży komunalnej kamienicy – nie jednego mieszkania, a całej nieruchomości. Mowa o Marszałkowskiej 66 – cena wywoławcza kamienicy to około 30 mln zł. Z uwagi na to, iż jest ona zabytkiem, została wyznaczona również kara za jej zniszczenie wynosząca ok. 780 tys. zł. Jak można się domyślić, dla potencjalnego dewelopera, który mógłby się ewentualnie pokusić o tę nieruchomość, kwota kary to drobniaki wrzucane do fontanny. Takie pieniądze nowy nabywca mógłby spokojnie wrzucić sobie w koszty, bo po gruntownej rewitalizacji lub całkowitym zrównaniu z ziemią Marszałkowska 66 przyniesie nieporównywalnie większe zyski – mowa w końcu o bardzo atrakcyjnej lokalizacji, bo w centrum miasta.

Jak doskonale wiemy, w mieszkaniach komunalnych mieszkają na ogół ludzie niezamożni, a pomysł, że niezamożni ludzie mieliby zamieszkiwać centrum Warszawy, wielu warszawskim politykom nie mieści się w głowie. Zrobienie z Marszałkowskiej 66 paru apartamentów pod Airbnb (pokrajać mieszkania na kilkanaście mikrokawalerek pod wynajem na szczęście – przynajmniej w teorii – już nie wolno; czytelnicy z większych miast zapewne doskonale znają ten trend) czy udostępnienie przestrzeni kolejnemu luksusowemu butikowi wygeneruje nieporównywalnie większy zysk niż komorne lokatorów mieszkań komunalnych. Podobnych historii w Warszawie zdarzyło się za kadencji obecnego prezydenta stolicy dużo więcej.

Gdzie te TBS-y?

Marszałkowska 66 nie jest żadnym precedensem, jeśli chodzi o wyprzedawanie przez Rafała Trzaskowskiego należących do miasta nieruchomości – często zresztą po zaniżonych cenach. Wystarczy przypomnieć, co stało się z mokotowskimi kamienicami na Głogowej czy Miłobędzkiej. Nieruchomość na Głogowej 30 o powierzchni 300 mkw. została w 2023 r. wystawiona na sprzedaż za zaledwie 4 mln zł. Co się z nią stało, nie do końca wiadomo, aczkolwiek po wpisaniu adresu w wyszukiwarkę jednym z pierwszych wyników jest ogłoszenie o sprzedaży 15-metrowej mikrokawalerki na tej właśnie ulicy, w budynku o bardzo podobnej charakterystyce. Dalej: działka przy ul. Brzeskiej 16, na której według wstępnych ustaleń miały powstać mieszkania TBS (Towarzystwo Budownictwa Społecznego), na początku tego roku została sprzedana spółce Ronson Development Group za 16,3 mln zł. Dalsza wyliczanka mogłaby trwać całymi stronami.

Ale może za te zarobione na sprzedaży nieruchomości pieniądze Warszawa przeznacza na budowę nowych mieszkań komunalnych? Też nie. – Wbrew zapowiedziom Trzaskowskiego jeszcze z okresu prekampanii z 2018 r. miasto nie tylko nie rozpoczęło żadnych dużych inwestycji, ale właściwie w ogóle przestało budować nowe mieszkania – komentuje Mikołaj Paja ze Stowarzyszenia Miasto Jest Nasze. – Bywały takie lata, w których miasto nie oddało do użytkowania żadnego nowego mieszkania komunalnego i żadnego nowego lokalu TBS (a miało ich być ponad 1500 rocznie!). Trudno z takimi „osiągnięciami" inwestycyjnymi prowadzić jakąkolwiek skuteczną politykę mieszkaniową, która jest przecież bardzo potrzebna. Ostatnie pięć lat to okres pogłębiającego się kryzysu mieszkaniowego, młodych nie stać już prawie w ogóle na zakup mieszkania – dodaje.

W latach 2018–2024 do użytku w Warszawie zostało oddanych niecałe 1400 mieszkań komunalnych lub lokali TBS-owskich, a więc mniej niż deklarowana wcześniej roczna liczba. Czy miasto stołeczne Warszawa rozpaczliwie potrzebuje tych 30 mln zł, że musi pozbywać się mieszkańców kamienicy?

– Centrum miasta w szybkim tempie się wyludnia i gentryfikuje. Miasto jest w coraz mniejszym stopniu dla mieszkańców, a w coraz większym stopniu dla inwestorów. W takim stanie rzeczy sprzedawanie miejskich nieruchomości należy uznać za decyzję absolutnie skandaliczną. Miasto samo pozbywa się narzędzi do realizacji polityki mieszkaniowej, podczas gdy takie budynki jak Marszałkowska 66 powinny być traktowane jako cenny zasób, a nie środek do poprawy i tak dobrych wyników finansowych (miasto w ostatnich latach notuje nadwyżki budżetowe) – wskazuje dalej Paja.

Gdzie ta wolność?

Trudno więc mówić o jakichkolwiek innych pobudkach niż czysty zysk. Zwłaszcza kiedy dodamy do tego fakt, iż 20 proc. wszystkich wpłat na kampanię Rafała Trzaskowskiego – około 800 tys. zł – pochodzi od firm deweloperskich. Ceny miejskich nieruchomości, które pod kuratelą Trzaskowskiego są wyprzedawane, często są niesamowicie zaniżone. W tej grze nie chodzi o dobro mieszkańców stolicy – obecny prezydent Warszawy traktuje miasto jak prywatne ranczo wzorem swojej poprzedniczki Hanny Gronkiewicz-Waltz. Fakt, że robi to nieco ostrożniej niż Gronkiewicz-Waltz, niewiele zmienia. Reprywatyzacja przestała już być aferą, a stała się chlebem powszednim mieszkańców Warszawy i oburza jedynie garstkę miejskich aktywistów i stowarzyszenia lokatorskie.

Na demonstracji z powodu umorzenia śledztwa w sprawie morderstwa Jolanty Brzeskiej w listopadzie ubiegłego roku Piotr Ikonowicz powiedział: „mordercy śmieją się nam w twarz". To prawda. Tylko że śmieją się nam w twarz nie tylko mordercy Brzeskiej, ale cała warszawska finansjera, która na eksmisjach i wyprzedawaniu miejskiego majątku zbija fortunę.

Naprawdę mam nadzieję, że te staruszki wyrzucane z komunalnych mieszkań poddawanych reprywatyzacji kończą w DPS-ach jak pan Jerzy, a nie pod mostem czy w zagrzybionych norach, w których warunki urągają ludzkiej godności, a które miasto stołeczne Warszawa oferuje im jako lokale zastępcze. Tragedie takie jak ta, która spotkała pana Jerzego, są w stolicy codziennością, ale mało kto interesuje się ludźmi spychanymi na margines w sytuacji, kiedy robi to polityk uśmiechniętego skrzydła liberalnego. Kiedy w przypływie złości wytknęłam ów fakt pod kolejnym postem na Instagramie, z miejsca dostało mi się miano ruskiej onucy, bo w końcu krytyka pod adresem polityka opcji uchodzącej za progresywną równa się popieraniem zbrodniczego reżimu.

Wielu pamięta psy wieszane na Janku Śpiewaku za nagłośnienie afery reprywatyzacyjnej, której główną bohaterką była Hanna Gronkiewicz-Waltz, nazywanie go pisowskim pieskiem, oskarżenia o pompowanie wyników prawicy i sabotowanie demokracji.

Półtora roku po zwycięstwie Koalicji Obywatelskiej w wyborach parlamentarnych cieszymy się demokracją, w której wyrzucamy na bruk ubogich mieszkańców Warszawy w celu napełnienia kabzy kolejnemu deweloperowi.

Cieszymy się tą demokracją, wynajmując mieszkania niewspółmiernie drogie w stosunku do obecnych płac, rosnącej inflacji i faktu, ile dana klitka jest faktycznie warta – bo nie stać nas nawet na kredyt hipoteczny. Liberalne pojmowanie wolności czy demokracji jest niesamowicie wypaczone – wmawianie nam, iż każdy jest kowalem swojego losu, przy jednoczesnym luzowaniu przepisów urbanistycznych, olewaniu planów zagospodarowania przestrzennego, wyprzedawaniu państwowego majątku skutkuje tym, że prawdziwą wolnością ostatecznie cieszy się tylko najbogatsza mniejszość.

Fabrykowanie zgody na ten stan rzeczy, któremu non stop jesteśmy poddawani, najlepiej obrazują nagłówki „Gazety Wyborczej" – wynajmujemy, bo tak jest nam wygodniej. Mieszkamy w kilkunastometrowych klitkach, bo teraz jest moda na minimalizm. Nie mamy dzieci, bo jesteśmy egoistami – nie dlatego, że nie stać nas na cztery kąty, w których moglibyśmy to potomstwo wychować, nie stać nas na prywatną opiekę czy nianie, bo nieliczne publiczne żłobki i przedszkola pękają w szwach. Wyrażamy zgodę na taki stan rzeczy tylko dlatego, że raz na kilka lat wrzucamy do urny wyborczej karteczkę z nazwiskiem polityka, który obiecał nam być dla wszystkich. A kolejny raz był tylko dla najbogatszych.

Krytykowanie Trzaskowskiego i stojącego za nim grona liberałów to nie żadne windowanie popularności prawicy. Prawica z reguły zachowuje się równie obrzydliwie – problem w tym, że tylko prawicowcom się za to faktycznie obrywa, a przynajmniej w mediach.

Na koniec pragnę serdecznie podziękować Stowarzyszeniu Miasto Jest Nasze i stowarzyszeniom lokatorskim za karkołomną walkę, jaką codziennie staczają z warszawskimi politykami w tym plutokratycznym układzie. Chcę wierzyć, że to miasto faktycznie kiedyś będzie nasze – mieszkańców. Wszystkich, a nie tylko najbogatszego ich procenta.

ANTONINA STEFFEN

REKLAMA

eprasa.pl 4804903f86

Dwie wojny i pokój

Dzień Zwycięstwa w Moskwie

– Wiśniowski?! – słyszę za sobą podniesiony głos. Młody oficer trzyma w ręku jakiś papierek i rozgląda się za właścicielem nazwiska, choć już dawno przeszedłem razem z innymi wszelkie kontrole i właśnie udaję się w kierunku stacji metra.

– Ja! – na rosyjską modłę odpowiadam.

– Mogę prosić jeszcze na chwilę? – pyta. – Chciałbym zamienić parę słów. Poproszę pański paszport.

– Oczywiście – odpowiadam i w ślad za moim przewodnikiem ponownie przekraczam rosyjską granicę na lotnisku Wnukowo. Dochodzimy do niewielkich drzwi, przed którymi kłębi się tłum imigrantów z krajów średniej Azji.

– Proszę poczekać za tą taśmą – pokazuje. Czekam. Po 40 minutach wołają, bym usiadł przed kolejnym młodym oficerem, bodajże kapitanem.

– Jaki jest cel pańskiej wizyty w Rosji?

– Być na obchodach 80. rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem.

– Ma pan znajomych na Ukrainie?

– Mnóstwo.

– Kontaktuje się pan z nimi?

– Rzadko.

– To proszę poczekać za drzwiami.

I tak sześć razy. Trzy godziny. Dwa różne pokoje. Trzy rozmowy z oficerami wojsk pogranicza, trzy – prawdopodobnie z oficerami służb bezpieczeństwa. Poproszono o mój telefon i sprawdzono moją książkę kontaktów. Pytania, pytania, pytania…

– Kiedy wrócił pan z USA?

– Nigdy tam nie byłem.

– Jest pan oficerem polskiego wywiadu – i to akurat nie było pytanie.

– Nie.

– Z kim pan spotka się w Moskwie?

Odpowiadam, podaję nazwiska przyjaciół, byłej żony, kolegów dziennikarzy.

Po trzech godzinach ponownie wpuszczają mnie na terytorium Federacji Rosyjskiej. Mogę wszystkim przyjaciołom, którzy do tej pory zdążyli postawić na nogi pół Moskwy, tej oficjalnej i nieoficjalnej, dać sygnał odwołania alarmu. Ufff…

Pierwsza wojna

Pierwsze po przerwie spotkanie z Moskwą (a wracałem po przygodzie na granicy o trzeciej w nocy) jest takie, że to miasto ma może wiele problemów, ale jednego nie ma na pewno: problemów z energią elektryczną. Używa elektryczności rozrzutnie i z demonstracyjnym sznytem: „patrzcie, stać nas na to". Oświetlone rzęsiście są niepracujące przecież o tej porze biura, śpiące osiedla domów mieszkalnych, reklamy i plakaty polityczne, ulice, place i pomniki. I tak przez całą drogę od lotniska do hotelu – 60 km. Stać to miasto na tę łunę.

Od dłuższego czasu Rosja przygotowywała się do uroczystej 80. rocznicy podpisania przez nazistowskie Niemcy bezwarunkowej kapitulacji. Działała i działa w warunkach dla niej skrajnie niekorzystnych: prowadzi ślimaczącą się od ponad trzech lat wojnę, jest w świecie zachodnim bytem wykluczonym, więc niepożądanym, u siebie zmaga się z sankcjami i częścią aparatu władzy, któremu ta obecnie prowadzona wojna wyrwała spod nóg przywileje i możliwości gigantycznych zarobków. Legalnych i nielegalnych. Tych drugich zresztą znacznie więcej. Nie ma tygodnia, bym nie przeczytał w rosyjskich mediach o kolejnym aresztowaniu wysokiego urzędnika. To jeszcze pół biedy. Drugie pół to informacja, że korupcja sięga na najwyższe szczeble resortu obrony, czyli ludzi, którzy dosłownie zarabiają na żołnierskiej krwi. Tego ludzie im nie zapomną.

Program obchodów obejmował nieledwie wszystkie obszary życia społecznego. Pojawiły się nowe fabularne filmy wojenne, dokumentalne. Odtajniono nowe tysiące dokumentów, w tym te, których niegdyś, za czasów ZSRR, nie publikowano, miłosiernie zachowując za drzwiami archiwów dowody świadczące o chętnej współpracy Łotyszy, Litwinów i Ukraińców z nazistami, o współuczestnictwie w najokrutniejszych wojennych mordach, przestępstwach i ludobójstwie. Miłosierdzie wtedy brało się przede wszystkim stąd, że nie było w interesie Związku Radzieckiego pokazywanie, że część społeczeństw „wielkiej rodziny republik radzieckich" ramię w ramię z hitlerowcami zabijała swoich współobywateli, brała aktywny udział w Holocauście, mordowała jeńców radzieckich i ludność cywilną. Teraz to im przypominają. W odpowiedzi na heroizowanie swoich esesmanów, nieskrywaną rusofobię i zwykłą nienawiść. W tej wojnie informacyjnej jeńców się nie bierze.

I w takiej sytuacji państwo rosyjskie stanęło przed trudnym zadaniem, by znów przypomnieć narrację o wielkim sukcesie radzieckiego narodu w wojnie, która dla nich była – jak chyba żadna w ich historii – wojną sprawiedliwą. Przekonanie, że Armia Czerwona wyzwalała narody Europy, ratowała je przed zagładą, jest powszechne.

Moskwa udekorowana jest setkami tysięcy plakatów, banerów, flagami, kopiami archiwalnych fotografii. Media nie dają zapomnieć o rocznicy. Rozmowy, wywiady, filmy, reportaże. Oczywiście, dominuje opowiadanie o zwycięskiej wojnie, o zasłużonej dumie ze zwycięstwa. Ale też nie jest to jedynie propagandowy, a przez to jednostronny przekaz. Jest miejsce na mówienie o wojnie brudnej, odczłowieczającej, o cenie, jaką człowiek, niechby nawet walczący w najsłuszniejszej sprawie, musi zapłacić za uczestnictwo w wojnie na wyniszczenie.

Część tożsamości

– Popatrz, jak mało ludzi – mówi mi mój rosyjski przyjaciel, nauczyciel akademicki, gdy w końcu docieramy 9 maja do Parku Gorkiego. I rzeczywiście, w porównaniu z tym, co widziałem tu 15 i 20 lat temu, tłumów nie ma.

To zawsze było miejsce spotkań weteranów wojny. Byłem tutaj w latach 80. co roku i byłem pod ogromnym wrażeniem emocji, jakie tutaj się przewalały. Tutaj spotykali się, pili, wspominali, płakali weterani. Opowiadali o tamtych latach, wspominali poległych, cofali czas. Przechodnie dawali im kwiaty, spontanicznie i szczerze. Dzisiaj starych ludzi już nie ma. Pozostały stoiska, na których młodzi ludzie ubrani w mundury Armii Czerwonej śpiewają piosenki tamtych czasów i zachęcają do wspólnego śpiewania albo proszą dzieciaki, żeby zgadywały tytuły utworów. Gdzie indziej najmłodsi mogą rysować obrazki żołnierzy tamtej epoki albo ubrać się w ich mundury, dopasowane do dziecięcych rozmiarów, wziąć udział w zgadywance. Zwykła niedzielna rozrywka.

Niemal całkiem odeszli bezpośredni uczestnicy tego wielkiego i niesłychanie krwawego konfliktu. Ci, którzy zostali, zbliżają się do setki lub ją przekroczyli. Minister Biełousow powiedział, że weteranów jest w całej Rosji tylko około 7 tys. Teraz jeszcze odchodzą pomału ci, którzy tą wojną żyli, wychowywani przez rodziców i dziadków – bezpośrednich uczestników wojny i jej skutków – i karmieni ich opowieściami. Gdy i oni, 50-, 70-latkowie odejdą, zostaną ci, dla których to już wyłącznie historia, taka sama jak wojna 1612 r. czy kampania napoleońska.

Musi się więc zmieniać sposób opowiadania dla nowych odbiorców. Próbują więc: internet, sieci społecznościowe, inne formy przekazu. Nie będzie skąpych w narracji obrazów fabularnych, niesłychanie wiarygodnych, bo grali w nich aktorzy, którzy przeszli osobiście piekło tej wojny. „Lecą żurawie", „Ojciec żołnierza", „Oni walczyli za ojczyznę", „Dworzec Białoruski"… mnóstwo tego było, a każdy z nich to arcydzieło.

Rosja toczy dziś zaciekłą i desperacką walkę o pamięć swojej historii. I walkę tę wygrywa. Ale tylko u siebie. Na Zachodzie ponosi porażkę.

Wychodzę z Parku Gorkiego z przekonaniem, że właśnie jestem świadkiem odchodzenia w przeszłość pewnej epoki. Odchodzi ona wraz z kolejnymi pokoleniami, dla których Wielka Wojna Ojczyźniana była częścią życia. Teraz to już będą tylko karty historii. Wciąż ważnej, bo stanowiącej część rosyjskiej tożsamości, ale już tylko historii.

Zebyśmy mieli jasność: Rosjanie nie dadzą sobie odebrać pamięci o tej wojnie. I to niezależnie od poglądów, stosunku do Putina, do wojny na Ukrainie, światopoglądu, religii. To, jako się rzekło, część ich tożsamości. Wszelkie próby i nadzieje, że przyjdzie dzień wielkich przeprosin, są płonne.

Druga wojna

Wojna na Ukrainie też już wygląda inaczej. Gdy byłem tutaj ostatni raz, była chyba bardziej obecna. W tym sensie, że widziana jako punkt jakiegoś odniesienia do obecnej sytuacji politycznej i społecznej.

– Wiesz co? – mówi mi rosyjski dziennikarz, wojenny korespondent, regularnie tam jeżdżący co kilka tygodni. – Tam jest strasznie, tam wiele razy byłem pod ostrzałem, dygotałem w obawie o własne życie. Trupi zapach, ranni, umierający w okopach, zwierzęcy sen. Jakiś koszmar. Ale jak tu wracam, po kilku tygodniach zaczynam, choć to złe słowo, tęsknić. Nie za wojną i śmiercią, tylko za klarowną sytuacją. Tam jest wszystko jasne: tu swoi, tam wróg. Nie ma miejsca na niuanse. Jeśli coś się stanie, możesz liczyć na swoich. Wyciągną cię z pola ostrzału, jak się da, wyślą do szpitala, gdzie lekarze dokonują cudów. Nie noszę broni, ale jestem takim samym celem dronów jak wszyscy inni, a nawet jako dziennikarz – bardziej. Wracam tutaj i wpadam w wir intryg i intryżek, donosików, wyrównywania rachunków, podjazdowych wojen. Zaczyna się liczyć, komu podpadłem, kto może mi zaszkodzić, z kim rozmawiać i o czym. I co najgorsze, ci ludzie mają w dupie tę wojnę i chłopaków, którzy tam giną. Dla nich liczy się kasa, kolejny tysiąc rubli, jaki mogą przytulić, przy okazji głośno opowiadając, jak wiele robią dla frontu.

Wojna na Ukrainie stała się, w moim przekonaniu, częścią codziennego rosyjskiego życia. Jest obecna oczywiście w mediach bardzo. Są oficjalne komunikaty i propagandowo optymistyczne informacje, ale bez trudu znajduję w sieci obrazki z wojny takiej, jaka ona jest.

I niejednokrotnie słyszałem o wciąż obecnej niechęci do urzędników na tyłach, często skorumpowanych, kunktatorskich i… chciwych.

– Gdyby nie pomoc społeczeństwa, nie byłoby dobrze – mówi mi inny dziennikarz. Nie patrz na Moskwę, to inny świat. Przyjedź do nas (tu pada nazwa miasta trzy godziny drogi od stolicy), pogadasz z chłopakami, którzy wrócili albo są na urlopie. Odpowiedzą ci szczerze, choć jesteś Polakiem, czyli wrogiem. Po drugiej stronie nierzadko słyszymy polski język.

Potem, gdy zapytam o nienawiść do tych, którzy w nich strzelają, odpowie, że to nie tak. Jasne, musisz zabić, żeby nie zabili ciebie, ale nienawiści do ludzi nie ma.

– To wojna domowa, słowo ci daję. Niedawno nasz żołnierz wziął Ukraińca do niewoli. Ale był ranny i zaczął tracić siły z upływu krwi. To jeniec wziął go na plecy i niósł 10 kilometrów, żeby się poddać. Nie chcę tej wojny idealizować, ale nie jest taka, jak pokazują w naszej telewizji. Kiedyś to się skończy i będziemy musieli obok siebie żyć.

Istotnie wielokrotnie w programach publicystycznych słyszałem, że Ukraińców trzeba wetrzeć w ziemię, że Ukraina nie ma prawa istnieć i różne takie radykalne dość przekazy. Ich autorzy toczą dookoła wzrokiem nieznającym strachu i mówią wielkie słowa, bo to nic nie kosztuje.

Podczas poprzedniego pobytu jeden z moich rozmówców mówił, że na donieckim odcinku frontu obie strony jeńców nie biorą. Za duży ładunek krzywd. Jedni nie mogą zapomnieć bombardowań cywilnych celów w 2014 r., drudzy winią tamtych za rozpoczęcie tego konfliktu, na końcu którego może stać rozpad Ukrainy, jaką znali. Teraz spotykam się z inną narracją.

Napisałem już, że spowszedniała. Ale jednocześnie jest poczucie, że znów Rosja stoi przeciw wszystkim, a dokładniej, wszyscy stoją przeciw Rosji. I że wojna ta jest kwestią egzystencjalną dla Rosji. Codziennie 1000 osób zgłasza się do punktów werbunkowych. Pewnie, pieniądze. Ale poza nimi jest też to bardzo rosyjskie działanie, że w chwili zagrożeń państwa skupiają się wokół lidera.

– O, pewnie, mam mnóstwo pytań do Putina. Bardzo nieprzyjemnych. Jakbym go spotkał… – Roman, reżyser, aktor i scenarzysta, zacina się na chwilę – … to nie wiem, czy bym mu je zadał. Wiesz, on jednak wie więcej niż my, ma bliżej do Boga – jednym płynnym ruchem przechodzi od rzeczywistości do sacrum i pokazania, że lider Rosji nosi w sobie coś boskiego. Gdy mu na to zwracam uwagę, uśmiecha się:

– Tak, łatwo sakralizujemy naszych przywódców. Tak po prostu mamy. Ale jednak, gdyby doszło do spotkania z nim, nie miałbym śmiałości.

Nic na to nie poradzicie ci wszyscy, którzy z łatwością rozstawiacie pionki na rosyjskiej i światowej szachownicy. Rosja jest po prostu inna. Inna od waszych wyobrażeń, oczekiwań, waszej pogardy. Dlatego tak trudno wam przewidzieć, czym to się skończy. Najłatwiej odpowiedzieć, że pokojem. Jakim? Nikt nie wie. Tym bardziej że trudno oprzeć się wrażeniu, że za horyzontem zbierają się ciężkie chmury trzeciej wojny. Jeżeli tak się zdarzy, czwartej już nie będzie.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Zdjęcia MACIEJ WIŚNIOWSKI

eprasa.pl 4804903f86

Nikt się tak dobrze nie adaptuje w każdych warunkach jak Kościół

Komisarze od wszystkiego

Pracownicy ministerstw, którzy pamiętają czasy „dobrej zmiany", przez ostatni rok dostrzegli jedną zasadniczą zmianę: przestali do nich wydzwaniać petenci w koloratkach.

Wola dalszego

Standardowym forum do kontaktowania się rządu i episkopatu jest stare, dobre, powołane za Stalina ciało noszące dziś nazwę Komisji Wspólnej Przedstawicieli Rządu RP i Konferencji Episkopatu Polski. I jak biskupi czegoś chcą od państwa, to abp Józef Kupny będący szefem strony kościelnej w komisji dzwoni do Siemoniaka i panowie ustalają spotkanie. Jeśli jednak żadna ze stron niczego od drugiej sobie nie winszuje, to niepisany zwyczaj każe gremium spotykać się choćby na kawę raz na pół roku.

Tymczasem przez ponad 10 miesięcy od zaprzysiężenia rządu Tuska biskupi i ministrowie do siebie nie lgnęli. Może dlatego, że panom w kolorowych biretach niefajnie było spotykać się z zasiadającymi po stronie rządowej lewicową Agnieszką Dziemianowicz-Bąk czy antyklerykalną Barbarą Nowacką.

Lody zostały przełamane 16 października 2024 r., gdy do KPRM zajechały limuzyny z ich ekselencjami. Siemoniak przedstawił propozycje zastąpienia Funduszu Kościelnego innymi rozwiązaniami. Strona kościelna zapewniła o woli przedyskutowania tych propozycji przez Konferencję Episkopatu Polski i woli dialogu w tej sprawie. W języku dyplomacji kościelnej znaczyło to, że biskupi kazali ministrom wsadzić ich koncepcje w co kto uważa, ze szczególnym uwzględnieniem dolnych partii ciała.

Kiedy zaś strona kościelna przedstawiła swoje stanowisko w sprawie nauczania religii w szkole, to ministrowie zapewnili o woli konsultacji i porozumienia w tej kwestii, co tym razem nie znaczyło, że kwestia religii winna znaleźć się w biskupiej okrężnicy, ale postanowiono utworzyć do niczego nieprowadzącą wspólną podkomisję ds. religii w szkole.

Na koniec zaś, jak przystało na rasowych dyplomatów, strony wyraziły wolę dalszego dialogu w relacjach państwo–Kościół.

Jak to za PiS było

Za rządów PiS takie rzeczy były nie do pomyślenia. Biskupi zjechali do KPRM już po kwartale. I choć premierowała wtedy Szydło, to nie ona ich podejmowała. Obowiązki pani domu pełniła Kempa. Byli też Błaszczak, Gliński, Rafalska i paru wiceministrów.

Oficjalnie podano, że przedmiotem rozmów były wtedy Światowe Dni Młodzieży w Polsce i przyjazd papieża. Naprawdę chodziło o ustalenie ścieżek komunikowania się przedstawicieli episkopatu z rządem. No i załatwienie raz na zawsze tego, by generalny inspektor ochrony danych osobowych odczepił się od ksiąg parafialnych, czyli żeby Kościoła nie obowiązywało RODO.

Kwestia komunikacji była paląca, bo do czasu spotkania najbardziej przerąbane mieli ministrowie i wiceministrowie. To do nich dzwonili oficjele z episkopatu i truli o szczegółowych problemach. Potem Jurgiel czy inny Gliński musieli wzywać swoich pracowników i na nowo wyłuszczać sprawy zezwoleń, koncesji czy innych – nic w sumie ich nieobchodzących – procedur. Przez taką długą ścieżkę realizacji postulatów Kościoła hierarchowie czuli się sfrustrowani, bo nic nie było załatwione od ręki.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Na spotkaniu dopracowano się mechanizmów polegających na tym, że każdy szczebel nadzorujący rząd w Konferencji Episkopatu Polski miał bezpośredni telefon do urzędnika odpowiedzialnego za załatwienie sprawy z takiej to a takiej dziedziny.

Najwyższy status nadano stosunkom między resortem edukacji a jego episkopalnym odpowiednikiem, czyli Komisją Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu Polski. Nic w tym dziwnego, bo przecież właśnie edukacja płaciła państwowymi pieniędzmi za dziesiątki tysięcy etatów katechetów. Najwyższy status zakładał, że z ministrami edukacji szef komisji w randze biskupa mógł się łączyć jak z numerem 112.

Co ciekawe, episkopat nie przydzielił swoich opiekunów tylko w kilku resortach. Wybronili się jakimś cudem: minister cyfryzacji Anna Streżyńska, minister rozwoju Mateusz Morawiecki, ateista od specsłużb Mariusz Kamiński i minister finansów Paweł Szałamacha.

Ciekawy jest też status resortu spraw zagranicznych. Jedynym kontaktem dla hierarchów był tylko i wyłącznie szef MSZ. Ale tylko do czasu Jacka Czaputowicza, który z hierarchami się nie dogadywał, więc szybko zmieniono go na miłego biskupom Zbigniewa Raua.

Pozostałe ministerstwa przypisano odpowiednim komórkom w episkopacie. Czasem według klucza resortowego, a czasem według osobistych znajomości poszczególnych ministrów.

Wyłonił się wówczas całkiem ciekawy obraz współzależności. Na urzędników MEN spadło robienie dobrze desygnowanym przez hierarchów przedstawicielom delegatur KEP do spraw duszpasterstwa nauczycieli i harcerzy.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego było na posyłki dla duszpasterza środowisk twórczych oraz szefa Rady KEP do spraw Mediów i Komunikacji Społecznej. Choć właściwie nie tyle na posyłki, co do przyklepywania propozycji dofinansowywania tego, co zdaniem biskupów dofinansować należy, jak choćby portali i czasopism katolickich oraz setek fundacji i stowarzyszeń kościelnych. No i rzecz jasna akceptowania wniosków o dotacje proponowane przez Radę KEP do spraw Kultury i Ochrony Dziedzictwa Kulturowego i uleganie sugestiom przedstawiciela KEP do spraw zachowania dziedzictwa kulturowego polskiej wsi.

Na resorcie Glińskiego spoczywała też powinność zadośćuczyniania oczekiwaniom desygnowanego przez episkopat kierownika Redakcji Programów Katolickich TVP. Funkcji, której mimo rewolucji ze struktur telewizji publicznej nie pozbyto się do dziś, więc człowiekiem episkopatu w TVP w likwidacji jest o. Michał Legan z zakonu paulinów.

Minister nauki i szkolnictwa wyższego był od spełniania próśb katolickich szkół o statusie wyższych. Pozostałe kwestie należały do jego podwładnych. A z nimi kontaktował się bezpośrednio delegat KEP do spraw duszpasterstwa akademickiego.

Mimo braku bezpośredniego wpływu episkopatu na Ministerstwo Finansów nie było jednak tak, że fiskus wybił się na zupełną niepodległość od Kościoła. Byli bowiem urzędnicy odpowiedzialni za to, by każdemu wnioskowi Komisji Charytatywnej KEP pozwolić się zrealizować, czyli zwolnić z podatku wszystko, czego ktoś z komisji sobie zażyczy. W zamian za to delegat KEP do spraw duszpasterstwa służby celnej wraz z krajowym duszpasterzem służb skarbowych i służby celnej na prośbę rządu pacyfikowali nastroje wśród masowo wówczas zwalnianych celników, a potem dbali o to, żeby ci nie chcieli podwyżek płac.

Minister skarbu państwa nie miał bezpośredniego episkopalnego anioła stróża. Jego kontakty z hierarchami ograniczały się wyłącznie do rozwiązywania po ich myśli kwestii związanych z czymś, co rozwiązać z korzyścią dla Kościoła zapomniała Komisja Majątkowa.

Telefon do szefowej resortu rodziny, pracy i polityki społecznej miało kilku biskupów. W końcu kwestie niecierpiące zwłoki w postaci kościelnych hospicjów, domów dziecka czy innych zakonnych umieralni musiały być finansowo dopieszczone bez żadnej zwłoki. Żeby zaś pracownikom resortu się nie nudziło, dzwonili do nich delegat KEP do spraw duszpasterstwa ludzi pracy albo przedstawiciele rad KEP do spraw rodziny lub społecznych.

Wyliczankę taką można ciągnąć jeszcze długo, bo episkopat ma delegatury, rady, duszpasterstwa tak wymyślone, by ich struktura oplatała wszystkie instytucje państwa. Biskupi nie przewidzieli jednak, że w polskiej pisowskiej państwowości pojawi się udzielny, nader autonomiczny twór o nazwie Imperium Ziobry, z setkami milionów w Funduszu Sprawiedliwości i wielką siecią firm przywięziennych. Dlatego resort sprawiedliwości został przez episkopat otoczony opieką niewspółmiernie większą niż inne ministerstwa. Czego najlepszym przykładem był ksiądz Michał O. od salcesonu i milionów na jego budowle.

PSL potrafi

Przez pierwsze miesiące nowej władzy biskupi i inni duszpasterze skonstatowali, że części ludzi, z którymi wcześniej rozmawiali, już nie ma, ci zaś, którzy zostali, nie kwapią się do odbierania telefonów. Retoryka antybiskupia też zrobiła swoje, tak jak i sekularyzacyjne zapędy MEN. Spotkanie Komisji Wspólnej z października nic nie dało. Biskupi zgłupieli, bo nie wiedzieli, czy mają tak jak zwykle dogadywać się z rządem, czy obstawać przy miłości do PiS.

Obstawili drugie rozwiązanie. W grudniu Komisja Wspólna znów się zebrała. Nominalnie w związku z brakiem porozumienia, po rozmowach w ramach podkomisji ds. religii w szkole. W trakcie obrad podjęto również kwestię Funduszu Kościelnego. Atmosfera rozmów była taka jak na spotkaniu Trumpa z Zełenskim w Gabinecie Owalnym. Strony poszły na noże. Episkopat nic nie zwojował, ale uznał, że wojna z rządem ma sens, bo po dobroci i tak nic od władzy nie wydusi.

Drugą konstatacją Kościoła była stara łacińska dewiza o dzieleniu i rządzeniu. 25 lutego Prezydium Konferencji Episkopatu Polski złożyło wniosek do Tuska o udzielenie informacji publicznej w sprawie braku publikacji w Dzienniku Ustaw wyroku Trybunału Konstytucyjnego mówiącego o niedopuszczalności ingerowania w szkolną religię. Był to jawny atak na rząd.

Dwa dni później zaś w sekretariacie KEP odbyła się konferencja „Relacje państwo–Kościół. Podstawowe zasady państwa prawa". Wszystkie wystąpienia kościelne były zgodne z linią PiS i jego tub propagandowych. Przysłuchiwali się temu zarówno najważniejsi hierarchowie, jak i – jak to ujęto w oficjalnym komunikacie KEP – najważniejsze osoby odpowiedzialne za relacje państwo–Kościół, m.in. wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz i minister Tomasz Siemoniak.

O ile Siemoniak w tym zestawieniu nikim dziwnym nie jest, bo jest rządowym współprzewodniczącym Komisji Wspólnej, to skąd na biskupim spędzie wziął się Kosiniak-Kamysz? Stąd otóż, że szef MON przewodniczy też Zespołowi ds. Funduszu Kościelnego. Biskupi rozgrywali PSL od miesięcy i jak widać wiedzieli, co robią. Nie dość, że ludzie Kosiniaka-Kamysza skutecznie przyblokowali niemiłe Kościołowi kwestie związków partnerskich i aborcji, to jeszcze na lutowym spędzie Kosiniak-Kamysz, miast wyjść w trakcie antyrządowych peror biskupów, zadeklarował się jako zwolennik wprowadzenia w miejsce dzisiejszego Funduszu Kościelnego 0,8-procentowego odpisu podatkowego – takiego jak 1,5 proc. na organizacje pozarządowe. Da to biskupom trzy razy więcej złotówek, niż dostają dziś ze likwidowanego przez rządowych antyklerykałów funduszu.

TOMASZ BOROWIECKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Komentarz jeszcze przed paradą z okazji Dnia Zwycięstwa opublikowała Irena Lasota („Rzeczpospolita"): *Gdy to, co piszę, trafi do czytelników, na Placu Czerwonym będzie (a może nie?) odbywać się Defilada Zwycięstwa. Kogo i nad kim? Oczywiście Rosji nad faszyzmem w 1945 r. Faszyzm dzisiejszy, ten w Ukrainie, podżegany przez NATO, nie został jednak pokonany. I 9 maja, mam nadzieję, Rosja będzie atakowana przez ukraińskie drony.* Diagnoza słuszna, ale życzenia pobożne.

☆ Portal gazeta.pl tak relacjonuje Dzień Zwycięstwa: *Nowości były bardzo skromne i pokazujące, jaką ewolucję przechodzi wojsko po lekcjach danych przez Ukraińców.* (…) *Po rozpoczęciu wojny z Ukrainą, będąca głównym elementem obchodów defilada na Placu Czerwonym była bardzo skromna. Praktycznie bez ciężkiego sprzętu.* (…) *Następni byli bardzo skromni przeciwlotnicy jedynie z wyrzutniami systemu S-400, który znacząco stracił na wizerunku względem czasów przedwojennych.* (…) *Całość domknęło lotnictwo. Najpierw formacja złożona z maszyn MiG-29 i Su-30 zespołów akrobacyjnych, a potem sześć szturmowych Su-25 rysujących na niebie flagę Rosji. Tak samo jak w 2024 roku i zdecydowanie skromniej niż w czasach przedwojennych.* Skromność parady trzeba było podkreślać czterokrotnie, ażeby czytelnicy zdołali ją dostrzec.

☆ Na portalu oko.press Paradę Zwycięstwa komentuje Agnieszka Jędrzejczak: *Defilada czcząca 80. rocznicę zdobycia Berlina miała być widowiskowa, było to jednak widowisko całkowitego odczłowieczenia. Równego marszu i synchronicznego przekręcania głów. Żołnierze wrzeszczeli „Uraaaaa" i równocześnie jak po sznurku wodzili wzrokiem za limuzyną wiozącą ministra obrony. A ten lustrował stan armii, stojąc sztywno w samochodzie – co też jest zupełnie nienaturalną pozycją.* Pani Jędrzejczak zapewne uważa, że na paradach żołnierze powinni swobodnie spacerować, nie pokrzykiwać i wodzić wzrokiem za dziewczętami na trybunach. Minister zaś powinien siedzieć na okolicznej ławeczce. Wówczas parada byłaby uczłowieczająca, demokratyczna i europejska.

☆ O Dniu Zwycięstwa pisze także Małgorzata Nocuń („Newsweek"): *Żadna inna armia nie wykrwawiła się podczas II wojny światowej w takim stopniu jak Armia Czerwona.* (…) *Jednak w krajach, w których doszło (choć częściowo) do przepracowania trudnej historii, nie czci się zwycięstwa w taki sposób, w jaki czyni się w Rosji. Istnieje w nich bowiem świadomość, że było to zwycięstwo pyrrusowe.* Faktycznie – pyrrusowe. Wprawdzie gdyby nie zwycięstwo, przodkowie red. Nocuń wraz ze wszystkimi Żydami i Słowianami wylecieliby przez komin, ale to tylko taka drobnostka.

☆ W poniedziałek minister Radosław Sikorski ogłosił, że w związku z ubiegłorocznym podpaleniem centrum handlowego Marywilska 44 w Warszawie Rosja do końca czerwca ma zamknąć swój konsulat w Krakowie. Dodajmy, że Marywilską podpalił Ukrainiec Daniil B. na zlecenie Ukraińca Oleksandra V.

☆ 15 maja (już po zamknięciu tego numeru) mają się rozpocząć negocjacje pokojowe w Stambule między Rosją a Ukrainą. Oznacza to powrót do rozmów zerwanych przez stronę ukraińską na polecenie ówczesnych przywódców USA (Joe Bidena) i Wielkiej Brytanii (Borisa Johnsona) w połowie kwietnia 2022 r.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 4804903f86

The Leon Show

A tu po maturze chodziliśmy na cheesburgera

Ledwo opadł biały dym, a wszyscy rzucili się do przewidywania, jaki będzie nowy pontyfikat. Na pewno ogromnym zwycięstwem propagandowym Watykanu jest to, że pół świata najpierw z zapartym tchem gapiło się na komin, wokół którego tańczyły mewy, a potem oklaskiwało nowego monarchę tego malutkiego państewka, śledziło każdy jego ruch, słuchało każdego słowa, recenzowało garderobę. Trzeba przyznać, że kościelni wodzireje wciąż potrafią zrobić show wyprzedzające oglądalnością Eurowizję czy mistrzostwa w piłce nożnej. Dwa tysiące lat praktyki nie poszło na marne. W samej tylko Polsce frazę „Habemus papam" na żywo usłyszało w różnych mediach ponad 9 mln osób. Mówi się wprawdzie, że miliony much jedzących gówno nie mogą się mylić, ale trudno ignorować wydarzenie, które ma takie branie medialne. Świeżak na tronie watykańskim ma potencjał marketingowy, więc redakcje trzymają rękę na pulsie, a fabryki obrazków i innych gadżetów z jego podobizną pracują już pełną parą.

Papież techniczny

Oczywiście, tak jak chwilę przed wyborem nikt nie znał nazwiska Prevost, tak pięć minut po jego przepoczwarzeniu się w Leona XIV zaroiło się od biografów i watykanistów. To fenomen nie tylko polski. Dziś trzeba być specjalistą od papiestwa, jutro od tenisa, pojutrze od stosunków indyjsko-pakistańskich. Świat zapierdala, a my razem z nim. Dostępność wiedzy (i fejków) pozwala w sekundę zorientować się w sytuacji i wygłaszać opinie tonem wytrawnego znawcy, który zęby zjadł na temacie. Nowy papież już w pierwszych przemowach zwracał uwagę na rewolucję technologiczną, której jesteśmy świadkami i uczestnikami, a on sam padł ofiarą. Przybierając imię Leona, chciał podkreślić, że ma zamiar stawić czoła tym wyzwaniom, podobnie jak poprzedni papież, który nosił to imię i musiał brać się za bary z XIX-wiecznymi przemianami społecznymi.

Nowe technologie nie są Leonowi XIV obce. Jego polski kolega z zakonu augustianów Wiesław Dawidowski opowiada z dumą, że nowy szef Kościoła kat. sprawnie korzysta ze smartfona i za jego pośrednictwem załatwiał często różne sprawy wbrew kościelnej zasadzie o powoli mielących młynach. Robert Francis Prevost miał zresztą do niedawna prywatne konta na Facebooku i portalu X, ale po wyborze je zlikwidował lub ukrył, prawdopodobnie po bombardowaniu wiadomościami od ludzi z całego świata. Jak ktoś dowcipnie zauważył, nowoczesna ekskomunika może przyjąć formę bana od papieża na Fejsie.

Obywatel świata

Co wiemy o papieżu na pewno? Że nazywa się Robert Francis Prevost, do 14 września ma 69 lat, wywodzi się z zakonu augustianów i lubi grać w tenisa. Póki co nic kontrowersyjnego, każdy ma ileś lat i coś lubi. Co zaś do zakonnej proweniencji, to Leon wywodzi się z tego samego zgromadzenia, które wydało Marcina Lutra, twórcę reformacji. A także Gregora Johanna Mendla, prekursora genetyki. Co do narodowości samego Leona XIV, to wersje są już różne. Urodzony wprawdzie w Chicago, ale korzenie ma też włoskie, francuskie i hiszpańskie, dodatkowo wiele lat spędził w Peru i Watykanie. Zatem Amerykanin nie-Amerykanin. Wilk syty i owca cała: hamburgery mają swojego papieża, ale z perspektywy kościelnych speców od mydlenia oczu żaden z niego Jankes, a obywatel świata, który miał pecha urodzić się w USA. Nawet papież przed wyborem nie jest nieomylny.

W ojczyźnie nowego papy radość umiarkowana. Choć prezydent USA po śmierci Franciszka ufryzował się na papieża za pomocą AI, to po konklawe stwierdził zaledwie, że „to wielki zaszczyt dla naszego kraju, że mamy pierwszego amerykańskiego papieża". Tamtejsza prawicowa aktywistka Laura Loomer prawi z kolei, że Leon XIV to „antytrumpista, popierający otwarte granice totalny marksista jak papież Franciszek". Niech się cieszy, że wybór nie padł na kardynała Reinharda Marxa, bo mogłaby to przypłacić zawałem tak z powodu nazwiska, jak i poglądów tego purpurata.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Obcy w domu

Sam Prevost zanim przywdział białe szaty, w mediach społecznościowych krytykował JD Vance'a za poglądy sprzeczne z tymi, które głosił Jezus. Vance to katolik, w dodatku ostatni polityk, z którym spotkał się papież Franciszek. Macierewicz już wynalazłby spisek. Zwolennicy Trumpa to w większości protestanci, więc siłą rzeczy nie są entuzjastami papieża, kimkolwiek by był. Także samemu Donaldowi Trumpowi dostało się od ówczesnego biskupa Prevosta za stosowanie antyimigranckiej retoryki. Trudno, żeby człowiek o wielonarodowych korzeniach i były misjonarz w Ameryce Południowej miał inne poglądy, choć wśród kleru wszystko jest możliwe. W każdym razie na sympatię trumpistów Prevost nie ma co liczyć. Może jedynie wyjście na balkon w czerwonej czapeczce „MAGA" by mu pomogło. Jak powiada Pismo: nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Franciszek nie był lubiany w Argentynie, Benedykt XVI – w Niemczech. Wyjątkiem był boski kult Wojtyły w Polsce, ale chyba nikt nie ma wątpliwości, że nasz kraj jest wyjątkowy.

W Polsce reakcje są na razie pozytywne, przynajmniej dopóki Leon nie nadepnie na odcisk prawicowcom. Ma ten atut, że według niektórych jest podobny fizycznie do JP2, ale każdy facet w papieskim wdzianku wygląda podobnie.

Wojtyła nadal jest dla części Polaków punktem odniesienia i chyba już nikt nigdy nie sprosta ich oczekiwaniom, bo papież ma dla nich jedno imię, a właściwie dwa: Jan Paweł. Prawica oczekuje, że papież Prevost zawróci z kursu Franciszka, liberalni katolicy żywią nadzieję, że będzie linię poprzednika twórczo rozwijał. Póki co jedynym naszym rodakiem wygranym na wygranej Leona jest ten Polak, który kupił kiedyś jego rodzinny dom, ale teraz wycofał ofertę sprzedaży, licząc na ciągły wzrost ceny tej nieruchomości. Powinien skonsultować z Dziwiszem, jak to rozegrać z maksymalnym zyskiem.

Co naprawdę myśli

Żeby nie było za słodko entuzjastom nowego pontyfikatu, warto przytoczyć przemówienie Roberta Francisa Prevosta z 2012 r., kiedy to był generałem zakonu augustianów i nie musiał się nikomu poza mnichami podlizywać. Sam chyba najlepiej zna swoje poglądy, więc oddajmy mu głos. „Zachodnie media są niezwykle skuteczne w promowaniu powszechnej publicznej solidarności z przekonaniami i praktykami sprzecznymi z Ewangelią, takimi jak aborcja, homoseksualizm i eutanazja. Media co najwyżej tolerują religię jako coś głupiego lub dziwacznego, o ile nie sprzeciwiają się wprost jej stanowisku w kwestiach etycznych, chyba że uznają je za swoje. Gdy ludzie wierzący wypowiedzą się przeciwko tym praktykom, media biorą wówczas religię na muszkę, przedstawiając ją jako ideologię niewrażliwą na rzekomo palące potrzeby ludzi żyjących we współczesnym świecie (…) Katoliccy pasterze, wypowiadający się przeciwko legalizacji aborcji czy też redefinicji małżeństwa, są przedstawiani jako twardzi i niewrażliwi doktrynerzy, ale nie z powodu czegoś, co zrobili lub powiedzieli, ale dlatego, że publiczność zestawia ich przekaz z pełnym życzliwości i współczucia tonem sfabrykowanego przez media obrazu istot ludzkich uwięzionych w moralnie złożonych sytuacjach życiowych, podejmujących w ich przekonaniu decyzje zdrowe i rozsądne" – mówił 13 lat temu do swoich kolegów z firmy, gdy nie obchodziło go jeszcze, co myśli o jego słowach pół świata. To chyba ucina wszelkie spekulacje co do liberalizmu i otwartości Leona XIV. Jeśli dodać do tego, że ma epizod z tolerowaniem księży molestantów, to mamy standardowy produkt kościelny, a nie nową jakość.

Kardynałowie wyklęci

Przy okazji konklawe pokazało, że kościelne przykazania i przepisy są dla maluczkich. Kardynałowie pod groźbą ekskomuniki (czyli wykluczenia z Kościoła) mają całkowity zakaz dzielenia się z kimkolwiek tym, co się działo podczas wyboru szefa. Tymczasem purpurat z Tanzanii powiedział mediom, że Prevost zdobył ponad 100 głosów, zaś arcybiskup Belgradu László Német opisywał, jak podczas rośnięcia liczby oddanych na niego głosów przyszły papież schował głowę w dłoniach, potem zaś siedział samotnie, bo „podczas kolacji po konklawe atmosfera wśród kardynałów była napięta, dlatego nikt nie odważył się usiąść przy stole nowego papieża. Siedział tam sam, cały w bieli, trochę zagubiony". Przypomnijmy, że karę ekskomuniki ściąga też na katolików potępiana przez nowego papieża aborcja, ale w przypadku skrobanki bywa częściej egzekwowana niż na gadatliwych kardynałów.

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Mamy do czynienia z atakami na wiarę, które spotykają się z pobłażliwym traktowaniem.* ***Odpowiedzialność karna sprawcy aktów nienawiści wobec chrześcijan, wobec kapłanów czy ludzi wierzących, musi być nieuchronna.***

mec. Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris, Telewizja Trwam, 5 maja

■ ***Syndykat śmierci pochylił się nad Polską – ostatnim poza centralnymi stanami USA bastionem chrześcijaństwa w chrześcijańskiej niegdyś cywilizacji Zachodu. Współczesne areopagi chcą dokończyć proces dechrystianizacji*** *(…). Zachód ma być pokonany od wewnątrz. Czy możliwe jest zdefiniowanie cywilizacji na nowo? Nie. Wtedy po prostu rozpoczyna się gnicie.*

red. Robert Tekieli, Radio Maryja, 4 maja

■ *Katolicy od czasów oświecenia porozumiewają się ze sobą głównie za pomocą niechętnych katolicyzmowi mediów. Dają się wodzić za nos kilkudziesięciomilionowej garstce agnostyków, ateistów i osobistych wrogów Pana Boga. Christianitas rozbita od wewnątrz (…).* ***Ateistyczny, antychrześcijański humanizm, dominujący odłam intelektualizmu, po pięciu wiekach skolonizował całą zachodnią cywilizację. To tajemnica zła, grzechu, atrakcyjności śmierci.***

dalej Tekieli

■ *Nasza Matka i Królowa staje przed nami jako nauczycielka. Uczy nas pięknego macierzyństwa. Uczy nas zatem miłości, jak kochać każde polskie dziecko. I wsłuchujemy się w Jej głos, naszej Królowej, która dziś uczy nas, czym jest najbardziej fundamentalny patriotyzm. (…)* ***Miłość nasza Polski – naszej ojczyzny, która polega na pragnieniu posiadania dzieci i na szczyceniu się, że jest ich dużo i że są prawdziwą nadzieją naszego narodu. To jest nasz patriotyzm dzisiaj, najbardziej fundamentalny – dzieci wychowane w chrześcijańskiej wierze według najbardziej humanistycznych wartości.***

abp Marek Jędraszewski, homilia, Wawel, 3 maja

■ *Z całego serca, w imieniu Narodu Polskiego i własnym, składam serdeczne gratulacje Jego Świątobliwości Papieżowi Leonowi XIV z okazji wyboru na Stolicę Piotrową. (…)* ***Proszę przyjąć zapewnienie o gotowości Rzeczypospolitej do dalszego zacieśniania tych wyjątkowych więzi – w imię wspólnych wartości, odpowiedzialności za dobro wspólne i umacniania pokoju na świecie.***

Andrzej Duda, X, 8 maja

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

■ *Świat się starzeje, imperia upadają, nowe ideologie zastępują stare, a* ***Kościół – mimo różnych kryzysów i zawirowań – od 2000 lat zachowuje witalność i młodość. Wciąż więcej przed nim niż za nim.***

ks. Janusz Chyła, X, 8 maja

■ *Ojczyzna potrzebuje polityki. A polityka potrzebuje ludzi sumienia. (…) Jako ludzie wierzący w Chrystusa, powinniśmy Go pytać o radę, kogo mamy wybrać. I Chrystus tę radę daje.* ***Daje ją w swoim słowie, w którym podpowiada nam, że kandydatem na prezydenta naszej Ojczyzny ma być (…) ten, który nie będzie szukał oszczędności w wyrzucaniu religii ze szkoły, by na jej miejsce wprowadzać indoktrynację ideologiczną i wychowywać dzieci i młodzież w duchu nihilizmu; który uszanuje wkład Kościoła katolickiego w budowanie ojczystego domu; który nie będzie głosił tez, (…) by „opiłowywać katolików", (…) który będzie uznawał nad sobą Boga i respektował Jego prawa, bo te prawa służą człowiekowi.***

bp Wiesław Szlachetka, homilia, Gdańsk, 1 maja

■ ***Der Onet wytrzymał tylko kilka dni, aby rzucić cień podejrzeń na papieża Leona XIV ws. pedofilii, gdy kierował diecezją Chiclayo w Peru w latach 2015–2023.*** *Zastanawiam się, co motywuje ludźmi, że podejmują pracę w mediach typu Der Onet czy „Wyborcza".* ***Przecież to wstyd na całe życie.***

ks. Jacek Dąbrowski, X, 11 maja

Wybrał **KLECHA**

eprasa.pl 4804903f86

Przepowiednie dla pontifeksa

Lew w Watykanie

Jeśli chodzi o nowego papieża, to wiadomo o nim tyle co nic. A tajemnica jego błyskawicznego wyboru? Żadna tajemnica, wystarczy kartka i kalkulator. W konklawe brało udział 133 kardynałów, z czego 80 nominował poprzedni papież – czyli większość miała już gotowy scenariusz, wystarczyło tylko go odegrać.

Robert Francis Prevost, zanim stał się Ojcem Świętym, był prefektem Dykasterii ds. Biskupów, czyli kimś w rodzaju szefa personalnego Watykanu. Dzięki jego podpisowi biskupami zostało co najmniej 250 księży na całym świecie, a 42 z nich – przypadkiem lub nie – zostało potem kardynałami, którzy rozgrywali konklawe.

W międzynarodowym towarzystwie Prevost był nie tylko rozpoznawalny, ale i idealnie neutralny. Nie za liberalny, nie za konserwatywny, nie Włoch, ale nie za egzotyczny. Tymczasem jego główni konkurenci byli z Włoch, co w obecnych realiach wystarczy, by przegrać już na starcie. Wybór kogoś spoza Italii był więc czymś pomiędzy rozsądkiem a przyzwyczajeniem.

Mówią, że papieża wybiera Duch Święty. Tym razem wygląda na to, że Duch musiał się dogadać z kalkulatorem. Przyszłość papiestwa? Trudna do przewidzenia – chyba że ktoś potrafi wieszczyć z przecinków w watykańskich komunikatach. Na razie mamy papieża z układu.

Do wnętrza czyjegoś umysłu najłatwiej dostać się przez to, co z niego wypada – na papier albo przez usta. Niestety, w przypadku Roberta Prevosta sytuacja jest trudna: dorobek pisarski nie imponuje, a jego kazania zaginęły niczym e-maile Watykanu z epoki Benedykta – nie ma nagrań, nie ma stenogramów, nie ma nawet memów.

A mimo to wystarczyło jedno słowo: „papież", by Prevost z anonimowego augustianina z Peru stał się najbardziej znanym człowiekiem na Ziemi. Ot, potęga słowa, które ciałem się staje.

Z własnej inicjatywy Prevost postanowił zostać papieżem Leonem, czyli Lwem. Bo przecież kiedy przychodzisz znikąd i obejmujesz ster nad duchowym Titanikiem, to najlepiej nadać sobie imię króla dżungli. Symboliczne? Owszem. I subtelne jak marmurowy relikwiarz z napisem „Skromność".

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ostatni papież Lew – Leon XIII – panował ponad 100 lat temu. Nowy Leon pije do niego, choć czy pije z zachwytu, czy tylko z obowiązku, to już inna sprawa.

Wcześniej było jeszcze 12 innych Lwów – znaczy papieży Leonów, ale ich pontyfikaty są dziś znane głównie tym, którzy studiują historię Kościoła na poziomie eksperckim albo piszą quizy do miesięcznika „Rycerz Niepokalanej".

Tak oto mamy papieża, który przybrał imię groźne, ale bezpieczne. Wszedł na tron św. Piotra z charyzmą urzędnika do spraw kadrowych i zapleczem, które wygląda jak kościelna wersja maszynki do głosowania. O jego planach wiemy tyle, co o następnym filmie Davida Lyncha – może będzie arcydziełem, a może kompletnie nic nie zrozumiemy.

Zatem przypomnieć, a w zasadzie napisać by wypadało poczet papieskich lwów na przestrzeni ponad tysiąclecia:

Leon I (440–461) – papież, który do przydomka „Wielki" nie musiał dopisywać gwiazdki z przypisem „wg własnej opinii". Władczy, groźny, wygadany. Bardziej cesarz w sutannie niż pasterz dusz. Pisał dużo, głównie do królów, biskupów i wszystkich, którzy nie pytali o zdanie, ale i tak je dostawali. Szczególnie lubił pisać o swojej władzy: że jest namiestnikiem Piotra, że ma jurysdykcję wszędzie, że biskupi to właściwie jego asystenci z terenu.

Leon II (682–683) – papież na chwilę. Przeżył więcej dni jako papież elekt niż jako rzeczywisty biskup Rzymu. Największe osiągnięcie? Zmarł po 11 miesiącach.

Leon III (795–816) – znany głównie z tego, że koronował Karola Wielkiego, robiąc z Watykanu fabrykę cesarzy. Dostał wpierdol od ludu włoskiego, spacerując po Lateranie. Musiał salwować się ucieczką za granicę. Zarzucano mu, że był dziwkarzem, ale przysięgał na własną niewinność, że to nieprawda, bo tak najlepiej rozwiązuje się zarzuty o cudzołóstwo.

Leon IV (847–855) – należał do tej szczególnej kategorii ludzi wielkich duchem, którzy wierzą, że jak się człowiek czegoś boi, to najlepiej postawić mur. Tacy jak Nikita Chruszczow, Donald Trump czy Jarosław Kaczyński – każdy z nich, gdy tylko poczuł przeciąg historii, brał się za cegły. Leon IV postanowił otoczyć Rzym murami. I tak powstała „civitas leonina", czyli „miasto Leona". Pomysł był prosty: z Watykanu zrobić fortecę duchową i polityczną. I trzeba przyznać, że się udało. Mur skutecznie oddzielał papieża od reszty świata. Tak skutecznie, że nikt już nie mógł się tam dostać. Papiestwo na kilka dekad zniknęło z politycznej mapy Europy. Papież został w swojej duchowej twierdzy, w której miał wszystko oprócz wpływu.

Leon V (903) – papież z kategorii „migawka", pojawił się i zniknął szybciej, niż zdążył rozpakować się na Lateranie. Jego pontyfikat trwał mniej więcej tyle, ile solidna infekcja sezonowa – dwa miesiące i po sprawie. Co się z nim stało? Najprawdopodobniej został zamordowany, choć to akurat wersja optymistyczna. Po prostu zniknął, przepadł, nie wrócił. Gdyby żył dziś, policja pokazywałaby jego zdjęcie w telewizji z hasłem „ktokolwiek widział, ktokolwiek wie". Żadnych encyklik, żadnych soborów, żadnych kontrowersji.

Leon VI (928–929) – papież z epoki, w której pontyfikat przypominał casting do roli ofiary losu. Były zakonnik z imponującym CV, co w tamtych czasach znaczyło, że umiał czytać, pisać i nie pomylił kadzidła z atramentem. A skąd to CV? Z klasztoru św. Pawła za Murami w Rzymie – miejsca, gdzie duchowni zdobywali wykształcenie, reputację i przepustkę do szybkiego zgonu w pałacu laterańskim. Miał opinię uczonego, co zapewne oznaczało, że przeczytał coś więcej niż regułę św. Benedykta.

Panował krótko (ok. roku), niczego nie zepsuł, bo nie zdążył, i niczego nie osiągnął, bo nikt mu nie pozwolił. Rzym w tym czasie był bardziej zarządzany przez lokalne mafie arystokratyczne niż przez Ducha Świętego, więc Leon VI był papieżem tylko z nazwy, nie z władzy.

Leon VII (936–939) – papież z kategorii „z łapanki", czyli wybrany nie dlatego, że ktoś go chciał, tylko dlatego, że nikomu nie wadził. Najbardziej zapamiętali go ci, którzy musieli po nim odkręcać jego niezbyt szczęśliwe decyzje, czyli kolejni papieże, legaci, kanonicy i cała rzesza notariuszy, którzy robili poprawki czerwonym atramentem w księgach dekretów. Zdaniem historyków papiestwa Leon VII był niczym środek przeciwbólowy, który nie rozwiązywał problemów, ale przynajmniej na chwilę uciszał wrzawę.

Leon VIII (963–965) – papież, a może antypapież? To zależy, kogo pytasz: cesarza Ottona I czy resztę świata. Bo to właśnie Otton, znudzony farsą z Janem XII (to ten, o którym kronikarze pisali, że urządzał bankiety z prostytutkami, uprawiał seks publicznie na ołtarzu, a nawet wprowadzał do pałacu kochanki i ich rodziny), wskazał Leona VIII palcem i powiedział: „ten będzie papieżem". I tak się stało.

Nikt go nie wybrał. Wstawiono go niczym nową drukarkę w biurze: bez konsultacji z personelem. Oficjalnie był głową Kościoła, nieoficjalnie – przedłużeniem cesarskiej ręki z Akwizgranu. Nosił tiarę z klauzulą warunkową, bo niektórzy uważali, że wybory papieża to jednak powinna robić… hmm… kapituła, a nie wojsko.

Leon IX (1049–1054) – wreszcie papież, który naprawdę chciał coś zrobić, a nie tylko siedzieć, błogosławić i liczyć relikwie. Przystąpił do dzieła z zapałem reformatora: zabronił sprzedaży urzędów (symonia), kazał księżom trzymać się z daleka od kobiet (celibat) i ogólnie próbował z Kościoła zrobić coś bardziej przypominającego zakon niż agencję nieruchomości z sakramentami. Jak na ironię: największe osiągnięcie jego pontyfikatu to... rozłam Kościoła. W 1054 r. jego legat Humbert (papieska wersja notariusza z kompleksami) wszedł do Hagii Sophii (taka prawosławna bazylika św. Piotra w Stambule) i rzucił ekskomunikę na patriarchę Konstantynopola. Ten oczywiście odpowiedział, ekskomunikując Leona IX.

Rozpadła się chrześcijańska jedność trwająca – bagatela – od czasów Chrystusa. Efekt uboczny: prawosławie. Leon IX, papież, który chciał uzdrowić Kościół, przez przypadek rozciął go na pół.

Leon X (1513–1521) – czyli Giovanni de' Medici (Medyceusz), papież z rodu, który z finansów uczynił religię, a z religii – operę. Pochodził z Florencji, więc Kościół traktował jak renesansowy bank z ołtarzem i chórem. Wierzył, że Bóg przebacza, ale za drobną opłatą, najlepiej w złocie lub w formie luksusowego fresku. Odpusty sprzedawał jak polisy na życie. Kiedy pojawił się niejaki Marcin Luter i powiedział: „Ej, to chyba nie tak", Leon X zareagował jak rasowy szef korporacji: zbanował go bullą, ignorując fakt, że właśnie podpala cały kontynent. Efekt: reformacja. Duchowe tsunami, które przebiło się przez katedry, konfesjonały i skarbce, zostawiając Kościół z jednym pytaniem: „Co poszło nie tak?". Prawie wszystko.

Leon XI (1605) – papież błyskawica: 27 dni i po pontyfikacie. Zmarł, bo przemókł podczas ingresu. Wniosek? Nie ignoruj matki, gdy mówi: „Załóż płaszcz, bo cię przewieje!".

Leon XII (1823–1829) – ultrakonserwatywny szeryf boży. Nienawidził liberalizmu, masonów, wolności słowa i wszystkiego, co pachniało oświeceniem. Prowadził Kościół tak, jakby Napoleon nigdy nie istniał, a rewolucja francuska była tylko plotką. Idealny papież, gdyby rok 1829 był rokiem 1629.

Leon XIII (1878–1903) – papież, który wpadł w XX w. jak babcia na TikToka: nie do końca rozumiał, co się dzieje, ale postanowił zostawić po sobie nagranie. Przeżył tyle, że mógłby zasiąść przy kawie z Bismarckiem, Nietzschem i Teslą – i jeszcze ich przeżyć. Zmarł w wieku 93 lat, co jak na papieża było czymś pomiędzy cudem a sabotażem watykańskiego personelu medycznego. Zasłynął głównie z tego, że napisał encyklikę „Rerum novarum" („O rzeczach nowych"). Chciał pogodzić robotników z fabrykantami i Kościół z rzeczywistością. Efektem był dokument, który każdy cytuje, ale nikt nie czyta.

Leon XIII był też pierwszym papieżem, którego sfilmowano – w epoce, kiedy filmy trwały 20 sekund, nie miały dźwięku, a ludzie szybko przebierali na nich nogami. Widać na nim, jak Leon błogosławi kamerze, prawdopodobnie myśląc, że to dziwna latarnia z diabłem w środku.

Leon XIV – Przepowiednia na podstawie przeszłości

Na podstawie dziejów watykańskich monarchów o imieniu Leon peruwiańskich przepisów zakazujących duchownym molestowania dzieci* – których autorem był nie kto inny jak Robert Prevost – oraz encykliki „O rzeczach nowych" Leona XIII, do której nowy Leon XIV ewidentnie nawiązuje, spróbujmy przewidzieć, jak potoczy się jego pontyfikat.

Będzie on zapewne pełen encyklik, których nikt nie przeczyta, ale wszyscy będą je cytować, byle niezrozumiale. Wprowadzi obowiązkowe kursy dla biskupów: „Jak nie ukrywać pedofilii i nie brzmieć przy tym jak robot" inspirowane własnymi doświadczeniami.

Wzbudzi tym aplauz liberalnych mediów i panikę w kurii.

Następnie opublikuje dokument „Rerum ridiculorum"(„O sprawach śmiesznych"), w którym apelować będzie o godność pracy duchownych, zakaz homilii powyżej siedmiu minut oraz obowiązek traktowania ludzi jak ludzi. Tym wywoła szok egzegetów i nerwowe chrząknięcia purpuratów.

Ogłosi, że mury Watykanu zostaną rozebrane, a cegły posłużą do budowy schronisk dla bezdomnych i kawiarni dialogu.

Jego obecność w sieci stanie się legendarna, zwłaszcza gdy na X wyjaśni publicznie: „Nie jesteście owcami. Macie mózgi. Używajcie ich". Przeniesie się z pałacu do skromnego kampera, aby być „bliżej ludzi i mniej kosztować", czym przyprawi kurię o stany przedzawałowe.

Zaprosi Dalajlamę, patriarchę Moskwy i greckiego anarchistę do wspólnej debaty „Czy religia jeszcze ma sens?", którą obejrzy pół świata, a drugie pół zgłosi się do Kongregacji Nauki Wiary z żądaniami wyjaśnienia takiego skandalu teologicznego.

Rys. TOMASZ WIATER

Ustanowi Światowy Dzień Duszpasterza Pracującego Fizycznie, każąc biskupom łapać za łopatę, co skończy się hospitalizacją kilku metropolitów.

W każdym razie papież Lew z kadrowego działu Watykanu napisze nowy rozdział ku konsternacji hierarchii i zaskoczeniu tych, którzy myśleli, że pontyfikat to tylko biała sutanna i rytuały.

W końcu na chrzcie dano mu imię Robert, a świętych i papieży o tym imieniu było mniej, niż kot napłakał (jeden papież, trzech świętych). Zresztą, podobno idiotów o tym imieniu też jest statystycznie wyjątkowo mało.

ROBERT JARUGA

*) „Líneas guía" (pełna nazwa: „Nowe wytyczne dotyczące interwencji w procedurze postępowania biskupów w przypadku możliwych przypadków wykorzystywania seksualnego małoletnich i osób wrażliwych przez duchownych") to oficjalny dokument opracowany przez Konferencję Episkopatu Peru, który określa standardy postępowania w przypadkach nadużyć seksualnych w Kościele katolickim. Kluczową rolę w jego przygotowaniu odegrał kardynał Robert Francis Prevost.

eprasa.pl 4804903f86

Bigos myśliwski na truchle portierki z UW

Dwururka i socjologia

Zanim ostygło ciało zamordowanej w bestialski sposób pracownicy Uniwersytetu Warszawskiego, ruszyły medialne igrzyska w kręceniu lodów na spektakularnym nieszczęściu. Udział brały wszystkie grupy zawodowe: politycy, księża, celebryci i influencerzy. Finalnie sępia uczta zwabiła mistrzów ceremonii w postaci Związku Zawodowego „Wspólna Sprawa" zrzeszającego myśliwych i ludzi z branż „użytkujących odnawialne zasoby przyrody". Choć mogłoby się wydawać, że skala obrzydzenia wobec kolesi z dwururkami nie może być większa, spektrum ich postulatów zrodzonych na warszawskiej makabrze podał ten pewnik w wątpliwość.

Pijawki

9 maja na facebookowej stronie „Wspólnej Sprawy" pojawił się sklecony z pretensji i żądań rakotwórczy manifest okraszony grafiką unurzanego we krwi topora. Po ulepionym z infantylizmów o bezbronności i tragedii śmierci wstępie, z wywleczoną dla podrasowania efektu warszawskiej masakry historią siekierezady na 10-letniej mieszkance Kamiennej Góry sprzed 10 lat, związek zawodowy przystąpił do chędożenia właściwego wątku. Przedstawiciele organizacji uznali zgony od niewłaściwego użycia noży kuchennych, siekier i innych narzędzi, które za kilka złotych można kupić w markecie, za nową brutalną i powszechną rzeczywistość. Znaleźli nie tylko przyczyny i winnych krwawego stanu rzeczy, ale zaproponowali remedium.

Chłopaki z flintami z tylko sobie znanych pobudek przypadki polowań na ludzinę w centrach miast postanowili połączyć z wartościami wyznawanymi przez tygodnik „NIE" – niewiarą w Boga, mediami i lewicą. Niestety, znów jak kulą w płot.

Biorąc pod uwagę wstępne analizy biegłych, którzy sprawców ostatnich masakr uznali za głęboko zaburzonych (by nie rzec: jebniętych), wyłuszczone w tekście przez ZZ gadki o „niszczeniu wartości chrześcijańskich", „upadku autorytetów" i „agresywnej polaryzacji społeczeństwa przez media i nieudolnych polityków" można spuścić z nurtem Wisły, ale też czego się spodziewać po monokomórkowcach umysłowych z kół łowieckich...

Aby oddać sprawiedliwość, ZZ „Wspólna Sprawa" dosyć finezyjnie wplótł wątek problemu kryzysu psychicznego do manifestu: „Jednocześnie przypominamy, że to właśnie środowiska lewicowe próbowały sparaliżować system opieki psychologicznej i odstraszyć od niej ludzi, wprowadzając absurdalne przepisy wymierzone w myśliwych i strzelców – jedyną zorganizowaną grupę obywateli przeszkolonych do posługiwania się bronią i reagowania w sytuacjach zagrożenia" – napisano. Gwoli ścisłości, odrzucony w pierwszym czytaniu projekt nowelizacji ustawy o broni i amunicji, który przewidywał nałożenie na osoby mające pozwolenie na posiadanie pukawek w celach łowieckich obowiązku okresowych badań lekarskich i psychologicznych potwierdzających spełnianie kryteriów zdrowotnych do ładowania ołowiu w żywe organizmy, został złożony przez Polskę 2050. Posłowie Lewicy, KO i inicjatorów pomysłu chcieli zdroworozsądkowo projekt procedować w komisjach, ale skrzydło prawicowych, czystych rasowo chrześcijan, zgasiło ich jak peta.

„Związek Zawodowy Wspólna Sprawa będzie głośno mówił o tym, że prawo do obrony nie może być przywilejem – to podstawowe prawo obywatela. (…) Proponujemy natychmiastowe zintensyfikowanie działań informacyjnych i edukacyjnych, które uświadomią społeczeństwu, że dostęp do broni palnej dla odpowiedzialnych, niekaranych obywateli to element zwiększający bezpieczeństwo – nie zagrożenie" – skonkludowano w odezwie.

Kleszcze

Gdyby równie oszalały, co bezwzględny sprawca z uczelnianego kampusu mógł kupić z marszu karabinek AR-15 (zasięg skuteczny: 457m, 60 pocisków na minutę), trup słałby się gęsto jak idiotyczne pomysły zwolenników pełnego dostępu do broni. Wymóg glejtu o niekaralności można rozbić o kant dupy, jeśli nie pójdzie za nim wymóg cyklicznego odnawiania pozwolenia w oparciu o badania psychologiczne. Mistrz siekiery Mieszko R. nie był karany, pijany ani naćpany. Był piekielnie zdolny i nie sprawiał problemów. Mimo to oprócz toporka znaleziono przy nim bagnet, noże i – jakby dla potwierdzenia tezy, że nie należy oceniać książki po okładce – „Dialogi" Konfucjusza.

Parafrazując postulat o powszechnym dostępie do broni, skoro siekiera jest legalna, zawsze ktoś mógł wyciągnąć swoją i rzucić w napastnika niczym tomahawkiem. Naturalnie, idąc tokiem rozumowania prawicy,

złego studenta z AR-15 mógłby powstrzymać dobry student z AR-15. Przecież Bóg rozpozna swoich, nawet gdyby wszyscy uczestnicy wydarzeń wyciągnęli broń i zaczęli strzelać do pierwszej przypadkowo napotkanej osoby w przekonaniu, że to właśnie ona jest strzelcem zero.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jak by nie spojrzeć na dane statystyczne, Polska wbrew powszechnej opinii jest dosyć bezpiecznym krajem. Liczba morderstw (w tym usiłowań) w ostatniej dekadzie wahała się między 495 (2015 r.) a 506 (2024 r.) przypadkami, z wyraźną tendencją wzrostową w 2021 r. (634 przypadki), co mogło być związane z izolacją społeczną i wzrostem agresji.

Jeśli pogrzebać głębiej, dla przykładu na 400 morderstw w 2010 r. 30 zostało dokonanych za pomocą broni palnej. Zabójcy w kraju nad Wisłą od lat najczęściej posługują się nożem, powód jest prozaiczny, majcher – w przeciwieństwie do broni – jest powszechnie dostępnym przedmiotem. Dalej są młotki, tłuczki do mięsa, łopaty, sznurki, paski i „tulipany". Maczety i siekiery to jedynie dobrze klikalna rzadkość. Odstrzał bliźnich dokonywany jest najczęściej przez zawodowych kryminalistów, którzy nie mają problemu ze zdobyciem sprzętu. W tej grupie morderców dominują, o ironio, myśliwi albo funkcjonariusze rozmaitych służb mundurowych.

Gnidy

Zawodowy Związek „Wspólna Sprawa" powstał w 2024 r. w Poznaniu. Organizacja reprezentuje interesy myśliwych i branż takich jak rolnictwo, leśnictwo czy rybactwo. Jak podkreślają jej przedstawiciele, ich priorytetem jest wpływ na politykę społeczną, reprezentację przed organami państwowymi z naciskiem na niezależność i ochronę praw członków. W marcu ubiegłego roku, a więc krótko po powstaniu związku, delegat „Wspólnej Sprawy" złożył na ręce premiera Donalda Tuska petycję o „odideologizowanie Ministerstwa Klimatu i Środowiska", rzekomo wrogiego wyżej wspomnianym grupom interesów.

Topornie przekuty w szeroko pojętą troskę o współobywateli piruet na truchle bestialsko zamordowanej pracownicy Uniwersytetu Warszawskiego podkreśla to, co wiadomo od dawna: lobby myśliwskie i powstałe przy nim twory pozbawione są skrupułów i nie cofną się przed niczym.

IDALIA DUBICKA

Siekiera, bagnet i Konfucjusz

PLURALIS MAIESTATIS

Predator naszych czasów

Kiedy dotarła do mnie informacja o mordzie na Uniwersytecie Warszawskim, to pomyślałam sobie: dopiero teraz? I jeszcze: cieszmy się, że to nie nowy Breivik. Dobrze, że Mieszko R. był fanem Predatora, a nie produkcji o Wilhelmie Tellu. Kuszę lekką a nośną kupić równie łatwo jak ergonomiczny toporek.

Pamiętajmy też, że machanie toporkiem zapewnia pewną bezpośredniość spotkania z człowiekiem, którego chce się zabić, czego nie da się osiągnąć, strzelając z kuszy. Oczu nie widać i jucha nie leje się tak fantastycznie. Wpadliście na to, że morderstwo może być jak seks? Nie? To zapytajcie myśliwych. Ale tych nieszanujących zwierząt, do których strzelają, tylko nimi gardzą. Bo są i tacy, i tacy.

Mieszko R. gardził całym tym bajzlem nazywanym naszym światem. Szczególnie to bolesne musi być dla akademików, bo wszakże nasz rodzimy Predator z tego środowiska pochodził. Wybitnie uzdolniony, inteligentny, zamknięty w sobie dzieciak (jednak dzieciak) poległ na czymś, co można nazwać śmiertelnym strachem przed śmiercią. Swoją własną. Sorry, młody, że psuję ci legendę.

Społeczeństwo nie zapewniło mu siatki zabezpieczającej przed upadkiem w lęki. Czy dokładniej – lęki te chłopak odbijał jak szklana ściana odbija dzikie ptaki. Taki typ.

A społeczną siatką zabezpieczajacą przed agresywną palmą są zwykle Lęki Nasze Powszechne, bo nie grupy wsparcia i te wszystkie inne humanistyczno-psychologiczne popierdy. Do młodego przyszła prawdziwa Trwoga. Świadomość własnej agonii, nicości, niepamięci. Lepiej gdyby się rozdrobnił, stresując zaliczeniami, forsą, randkami.

Gdyby bardziej nas szanował jako ludzi, gdyby bardziej nas rozumiał jako ludzi, nie doszłoby do tego, do czego doszło. Nie szanował nas, bo zanurzeni w konsumpcji pajacujemy – od twardego prawa do twardego lewa – na maksa. Sprzedajemy swoje tanie biblie. Taniutkie. Nie rozumiał nas, bo to szczeniak jest – za młody, żeby pojąć, że życie jest takie, a nie inne. I w sumie nic tu po nas, żyje się po prostu siłą rozpędu.

Wogóle mnie nie zdziwiło, że Mieszko R. ma czyste badania toksykologiczne. Ani to, że wylądował w zakładzie zamkniętym na badaniach psychiatrycznych. Ma dobrego, ostrego adwokata, i to bardzo dobrze. Każdemu należy się sprawiedliwy proces.

Policja Mieszka R. nie odstrzeliła jak wściekłego psa – wprost na kampusie. Nie jesteśmy jeszcze w USA. I to jest dobra wiadomość, tak dla niego, jak i dla nas. Chłopak chce żyć. Przynajmniej na razie.

Pomyśleć, że gdyby trafił na jakąś dobrą wróżkę, to mógłby być podporą naszego dnia, a nie predatorkiem. Chciał swoim rówieśnikom zaimponować i robił to w jak najgorszy sposób. Uznany za dziwaka, poszedł w to jeszcze ostrzej. No i matka natura trochę go wykiwała. Na starych filmach i zdjęciach nie jest to dzieciak atrakcyjny. Na ostatnich widać, że hormony męskie wreszcie poszły. To ładny mężczyzna. Jeszcze z rok i studentki by mu robiły za radosne materace – rozładowałby się i zyskał słodkie audytorium. Ano, bywa.

Zastanawiam się, czy czekają nas akty naśladownictwa i jakie? Optymistycznie liczę na to, że ich nie będzie. Nie umyka też mojej uwadze, że – w pewien sposób – sprofanowano zwłoki ofiary, ale i cały magiczny Uniwersytet Warszawski. Bardziej powinno boleć nas to pierwsze, ale bardziej boli to drugie. Jednak choć pamiętamy rok 1968 na uniwersytecie i choć niesie nas duma, że uniwersytety mają swoją głęboką autonomię nie tylko intelektualną, ale także prawną (na swój sposób ja postrzegam je jako twory niezawisłe będące azylem dla inteligencji), to nie potrafię zapomnieć antysemickich gównianych plakatów, jakie ostatnio pojawiały się na murach UW (i nie tylko UW). Nie, nie wskoczę teraz na swojego ulubionego konika, z którego mnie znacie… Przypomnę za to, że 12 czerwca 2024 r. rektor wezwał policję, aby wynieść, dosłownie wynieść, protestujących studentów z kampusu. A to była drużyna propalestyńska. Mówiono wtedy głośno o „niechlubnej tradycji"… Ja wiem jedno, chlubna, niechlubna, coś się znowu spieprzyło. Frustracja, agresja, ale także bezsilność – rządzą. Nie zaryzykuję stwierdzenia, że pora była na kolesia biegającego po Ogrodach Nauki z toporkiem, ale kompletnie nie jestem zdziwiona, że biegał. I to akurat tam.

Kiedy czytam, że brać studencka widziała Mieszka R. i podniecona jak spaniel podczas polowania na kaczki wzajemnie ostrzegała się, a nawet zamykała w pokojach, dając cynk, jak trzeba pukać, żeby wejść w bezpieczną strefę, to mnie jednak mdli. Mdli mnie na myśl, że studenci nie zawiadomili policji. Mdli mnie, że nagrywali filmiki z tzw. zdarzenia. Mdli mnie, że nie znalazło się dziesięciu chłopa, którzy ruszyliby ławą na Predatora. Wiecie, to nie był Predator z Kosmosu, jak w horrorze. To był bardzo niebezpieczny, ciężko zaburzony chłopak z załamaniem nerwowym. Ale na kampusie były kobiety, studentki w ciąży, osoby niepełnosprawne. Kobietę zabito. Jesteście dorośli czy nie? Myślicie tylko o własnej dupie czy nie?

Naszykowaliście już pluszaki, żeby kłaść je przed bramą UW ku pamięci ofiary Małgorzaty D.? Pewnie, że naszykowaliście. Ile teraz będzie płaczu! I ckliwych wspomnień…

A najbardziej rzygać mi się chce, że inicjatywę w chronieniu własnych tyłków, ale już nie społeczności uniwersyteckiej, wykazali studenci prawa! Prawa! Prawa! Prawa! Macie w przyszłości formować państwo i być jego opoką, u licha…

Za to za kuriozum uważam fakt, iż jako argument przeciwko Mieszkowi R. uznaje się to, że w plecaku (przy zatrzymaniu) miał bagnet i pisma Konfucjusza. Wiecie co? Ja też miewam w plecaku bagnet. I też miewam dzieła filozofów. A założę się, że były dni, w których miałam i to, i to. Odludek, nie integrował się, oglądał horrory. Ja też odludek, też się nie integruję, a horrory swego czasu to nawet pisałam. W antykwariatach je znajdziecie. Owszem, nie ujebałam nikogo ergonomicznym toporkiem. Owszem, jestem od Mieszka R. o dwie dekady starsza. Ale – dorośnijcie ludzie, bo wy dwóch dekad na osiągnięcie dojrzałości to nie macie. Żyjecie na egzystencjalnym, ale namacalnym kredycie. O czym nawiasem mówiąc, przypominają wam rówieśnicy z Ostatniego Pokolenia klejący się do warszawskich mostów.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 4804903f86

Gdy upada narodowa duma

Głos laika w sprawie Igi Świątek

Ilustr. KROKODYL

Co się dzieje z Igą Świątek? – całe polskie środowisko sportowe próbuje znaleźć odpowiedź na to pytanie. Jeśli ktoś najlepszy na świecie, ktoś, czyje serwisy, forhendy i bekhendy budowały naszą narodową dumę, zaczyna przegrywać z rywalkami, z którymi teoretycznie nie miał prawa przegrać, musi się zacząć szukanie przyczyny takiego stanu rzeczy. Aż dziwne, że sprawa Świątek nie znalazła się wśród tematów kampanii prezydenckiej. Jakże łatwo byłoby powiedzieć: wina Tuska.

W ogniu krytyki znalazł się sztab tenisistki. Iga Świątek na korcie jest sama, ale na jej sukcesy (a ostatnio też porażki) pracuje wielu ludzi. Nazwisk niektórych z nich nawet nie znamy. Jest to grupa niezwykle hermetyczna, bezwzględnie przestrzegająca tajemnic – do opinii publicznej dostaje się tylko to, co ma się przedostać.

Zły trener

Już jako znana tenisistka Iga Świątek zmieniła dwukrotnie trenerów. Zawsze było to zaskoczenie dla opinii sportowej, można odnieść wrażenie, że także dla samych zainteresowanych. Z Piotrem Sierzputowskim Świątek snuła plany na kolejny sezon, podarowała mu wypasiony motocykl (jest wielkim fanem jednośladów), by nagle ogłosić, że teraz trenować będzie ją Tomasz Wiktorowski, w przeszłości szkoleniowiec Agnieszki Radwańskiej. Współpraca układała się dobrze, zawodniczka czyniła postępy, ale coś musiało nie zagrać w teamie, skoro za pośrednictwem prasowego komunikatu dowiedzieliśmy się, że teraz czterokrotną zwyciężczynię wielkoszlemowego turnieju na kortach Rolanda Garrosa poprowadzi Belg Wim Fissette.

Iga Świątek, dotychczas mistrzyni gry na kortach ziemnych (na tzw. mączce), wiele obiecywała sobie po współpracy ze szkoleniowcem, który w przeszłości prowadził kilka bardzo znanych tenisistek, niekoniecznie z wielkimi sukcesami. Belg nauczyć miał Świątek gry na kortach trawiastych, które dotychczas były jej przekleństwem, a także poprawić jej serwis. Na występ na trawie przyjdzie czas w Wimbledonie. Na razie wyraźnie obniżyła poziom gry na mączce. Z serwisem także nie jest za dobrze.

Nie jestem tenisowych fachowcem. Podczas pracy jako dziennikarz sportowy nigdy nie zajmowałem się tą dyscypliną, nie grywałem też w tenisa amatorsko – przedkładałem nad niego inne sporty rakietkowe: ping-ponga i badmintona. Nie mam więc prawa oceniać Fissette'a, ale specjaliści nie zostawiają na nim suchej nitki. Niczego w grze Igi nie poprawił, a zepsuł całkiem sporo. Lech Sidor, były tenisista, a obecnie komentator Eurosportu, poszedł na całość i poradził Belgowi, żeby pakował walizkę i wyjeżdżał. Nie dostanie – przewiduje – pracy nawet w supermarkecie.

Zła pani psycholog

Stałym członkiem drużyny Igi Świątek jest trener przygotowania fizycznego Maciej Ryszczuk, człowiek, który nigdy nie wychodzi poza swoją rolę i pozostaje w cieniu, choć jego zadania są bardzo ważne. Ryszczuk dba nie tylko o wydolność fizyczną zawodników, którymi się opiekuje, także o jakość ich snu, odpoczynek, a zapewne ma także coś do powiedzenia w kwestii diety.

Najgłośniej jest oczywiście o Darii Abramowicz, psycholożce sportu, z której pracą wiąże się eksplozję talentu Igi Świątek, ale która teraz znajduje się coraz częściej w ogniu krytyki. Po części sama jest sobie winna. Jeździ z Igą na wszystkie turnieje, wysuwa się na pierwszy plan, szepcze się, że chciałaby zastępować trenerów i że to ona ma decydujący głos we wszystkich sprawach.

Iga Świątek, która bardzo dba o szczelność swojej ekipy i nie zdradza żadnych tajemnic, publicznie wzięła w obronę swoją psycholożkę. W wywiadzie udzielonym serwisowi sportowefakty.wp.pl (a rzadko udziela wywiadów, jeśli nie jest do nich zobowiązana podczas turniejów) stwierdziła, że irytują ją nagłówki o kryzysie i o tym, że znalazła się w rozsypce. „Jestem zadowolona z miejsca, w jakim się znajduję" – stwierdziła. A o trwającej już ponad sześć lat współpracy z Darią Abramowicz powiedziała krótko: „Daria jest dla mnie ciągłym wsparciem, osobą, której ufam. Chcę, żeby ludzie o tym wiedzieli. To jest mój zespół, to ja decyduję, kto w nim pracuje".

Faktem jest, że ostatnio zaczęto podawać w wątpliwość zawodowe umiejętności Darii Abramowicz. Czy może być dobrym psychologiem ktoś, kto przez tyle lat nie nauczył swojej podopiecznej panowania nad nerwami? Nie byłem – podobnie jak inni publicznie wypowiadający się na ten temat – świadkiem psychoterapii Igi Świątek. Nikt nie powinien być. To bardzo subtelna relacja, a obie strony obowiązuje tajemnica ściślejsza od tej, jaka wiąże adwokatów, księży czy dziennikarzy. Pamiętam, że na początku współpracy Igi Świątek z Darią Abramowicz nie bardzo mi się podobało, że psycholożka udzieliła kilku wywiadów, w których mówiła o swojej pracy i roli w przygotowaniu Igi Świątek. Oczywiście nie zdradzała szczegółów, ale wydaje mi się, że osoba wykonująca tę profesję powinna być w ogóle niewidzialna. Ale może się mylę.

Darię Abramowicz broni jedno. Z jej psychologicznych podpowiedzi korzystały Aleksandra Mirosław i Ewa Pajor. Pierwsza z nich została jedyną naszą złotą medalistką olimpijską w Paryżu, druga – jest najlepszą strzelczynią kobiecej futbolowej La Liga w barwach FC Barcelony.

Psychologowie, ale także lekarze, fizjoterapeuci, a nawet damscy fryzjerzy lubią wieszać na ścianach pomieszczeń, w których przyjmują klientów, oprawione dyplomy i świadectwa ukończonych kursów. Im jest ich więcej – tym lepiej. Daria Abramowicz mogłaby powiesić tylko fotografie Aleksandry Mirosław, Ewy Pajor oraz oczywiście Igi Świątek. I to tyle mam do powiedzenia o jej fachowym przygotowaniu do wykonywanego zawodu.

Zła Danielle Collins

Faktem jest jednak, że Iga Świątek od niemal roku zawodzi. Wszystkim, którzy pamiętają jej grę w ostatnich latach, przykro patrzeć, jak wychodzi na kort bez dawnej wiary w siebie, nie walczy o każdą piłkę, prędko się poddaje. Łatwo – jak na początku kariery – denerwuje się, ostatnio nawet po nieudanych zagraniach używała słownictwa przez niektórych (nie przeze mnie) uważanego za nieprzyzwoite.

Znamienny był niedawny mecz w trzeciej rundzie rzymskiego tysiącznika. Wydawałoby się, że do rywalizacji z Amerykanką Danielle Collins Iga Świątek wyjdzie szczególnie zmobilizowana. Wiadomo, że panie nie darzą się gorącym uczuciem, a raczej przeciwnie. Zazwyczaj w takich okolicznościach sportowiec potrafi wyzwolić w sobie dodatkowe pokłady energii. W Rzymie tego nie było widać. Trener Igi Wim Fissette wołał z trybuny: „Graj tak, żeby wygrać!". Polska tenisistka sprawiała jednak wrażenie, że gra tak, żeby przegrać.

Skąd wzięły się animozje między tenisistkami? W ćwierćfinale turnieju olimpijskiego Świątek wygrała z Collins, ale mecz nie został ukończony, bo Amerykanka doznała kontuzji i musiała opuścić kort. Na konferencji prasowej zarzuciła Polce, że ta tylko udawała współczucie dla kontuzjowanej rywalki i wprost nazwała Świątek nieszczerą i fałszywą osobą. Dla nas, wielbiących urodzoną w Warszawie, a mieszkającą w Raszynie zawodniczkę, było to coś nie do przyjęcia. Jak w ogóle ktoś śmie w ten sposób mówić o naszej dumie narodowej? To trochę tak jak deptanie biało-czerwonej flagi.

Kilka dni później Polka niespodziewanie przegrała w olimpijskim półfinale i od tego czasu do dziś nie wygrała poważnego turnieju. Oczywiście trudno mieć o to pretensje do Amerykanki, ale wielbiciele teorii spiskowych – a takich jest wielu – zaczęli mówić o klątwie Collins, która ciąży nad Polką do dziś.

Tym bardziej że wojna trwała nadal. Podczas United Cup 2025 obie rywalki nie zagrały ze sobą, ale podczas powitania ekip doszło do drobnego incydentu nagłośnionego przez prasę sportową na całym świecie. Gdy drużyny witały się, Collins co prawda podała rękę Świątek, ale ostentacyjnie odwróciła przy tym głowę. „Danielle Collins przestała ukrywać swoją pogardę dla Świątek" – głosiły prasowe tytuły.

W 2024 r. kontrola antydopingowa wykryła w organizmie naszej najlepszej tenisistki (i ówczesnego numeru pierwszego światowego rankingu) ślady niedozwolonej substancji. Międzynarodowa Agencja do spraw Integralności Tenisa uznała, że ta niewielka dawka została przyjęta przypadkowo w zanieczyszczonej tabletce melatoniny. Substancję tę zawiera wiele popularnych leków przyjmowanych w celu poprawy komfortu snu. Wyjaśnienie powszechnie zaakceptowano, ale Collins zauważyła, że jej samej to nie grozi, bo przyjmuje wyłącznie witaminy i suplementy przebadane w certyfikowanych laboratoriach.

Tenisitka idealna

Nie obyło się bez dalszych drobnych złośliwości. Collins zamieszczała w swoich portalach społecznościowych fotografie pokazujące jej miny podczas spotkania ze Świątek. W turnieju w Charleston Polka nie grała. Organizatorzy poprosili zawodniczki o wytypowanie ich zdaniem tenisistki idealnej. Collins podała nazwisko Świątek, swojej – jak prędko dodała ze złośliwym uśmiechem – najlepszej przyjaciółki.

Jaka jest przyczyna tego konfliktu, mogłaby wyjaśnić Daria Abramowicz. Wiele wskazuje na to, że wkraczamy na teren jej profesjonalnych zainteresowań.

Jako jeden z przedmiotów dodatkowych na Uniwersytecie Warszawskim miałem psychologię, nawet na zaliczeniu – jeśli pamięć mnie nie myli – dostałem ocenę bardzo dobrą. Coś tam wykładali nam o trudnych do zrozumienia interakcjach między osobami, już nie pomnę co. Notatki z tych zajęć, nawet gdyby nie zaginęły, dziś pożółkłyby i rozsypały ze starości.

Niemal każdy ma jednak ludzi, których od razu polubił, i takich, za którymi od pierwszego wejrzenia nie przepada. Wiele wskazuje, że jeśli chodzi o relację Collins–Świątek mamy do czynienia właśnie z takim przypadkiem. Zresztą, niech się wypowiedzą mądrzejsi i lepiej wykształceni ode mnie.

Pokażcie mi sportowca, który podczas całej kariery nie miał słabszych momentów. Odpowiem wam od razu: nie ma takich. No, chyba że bardzo wcześnie zakończyli karierę,

jak australijska tenisistka Ashleigh Barty, która w marcu 2022 r. niespodziewanie ogłosiła rozbrat z wyczynowym sportem. Zajmowała wówczas pierwsze miejsce w światowym rankingu, miała dopiero 26 lat, przed sobą mnóstwo turniejów do wygrania i mnóstwo milionów dolarów do zarobienia. Australijka wyjaśniła, że latanie z turnieju na turniej, zmiany stref czasowych, życie w ciągłym napięciu bardzo ją wyczerpują. Marzy o zamieszkaniu na stałe w swoim domu, zajęciu się czymś, co lubi, czyli golfem, a pieniędzy zarobiła już dość.

Wystartowała w amatorskim turnieju golfowym, poszło jej nieźle, wygrała 500 dolarów, co prawda australijskich. Wkrótce wyszła za mąż za zawodowego golfistę Garry'ego Kissicka, para doczekała się synka Heydena i żyje sobie szczęśliwie na antypodach z dala od zgiełku, pośpiechu i nerwów tenisowego cyrku.

Nie, nie twierdzę, że Iga Świątek powinna dać sobie spokój z tenisem na najwyższym światowym poziomie. Jeśli chce się utrzymać w czołówce, nawet nie powinna o tym myśleć. Każda przerwa powoduje utratę pozycji w rankingu. Porażka z Collins podczas rzymskiego turnieju zepchnęła ją poza czołową trójkę. Iga Świątek jest wciąż bardzo młodą tenisistką, młodszą niż Ashleigh Barty, gdy niespodziewanie kończyła karierę. Oczywiście wszystkie decyzje należą do niej, ale moim zdaniem musi przetrwać kryzys, a pomóc w tym powinna jej dobra opieka psychologiczna. Czy sprawować ją będzie Daria Abramowicz, czy ktoś inny, to także jej wybór.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 14.05.2025 r.

eprasa.pl 4804903f86

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

aferzysta, arogant, bajerant, bezdusznik, bezecnik, blagier, blefiarz, chytrus, ciemny typ, cwaniak, cynik, czarny charakter, człowiek bez zasad, człowiek nieczuły, dokuczliwiec, drań, dresiarz, dwulicowiec, etyczne nic, fałszywiec, faryzeusz, gagatek, gałgan, gangus, geszefciarz, gnój, gównojad, grubianin, hipokryta, hiena, hochsztapler, hultaj, huncwot, impertynent, indywiduum, kanciarz, karierowicz, kawał drania, kłamca, kłamczuch, kombinator, koniunkturalista, kreatura, krętacz, kuglarz, lawirant, łachmyta, łachudra, łajdus, łajza, łapserdak, łgarz, łobuz, macher, manipulant, matacz, miernota, miglanc, mistyfikator, mitoman, moralne dno, nabieracz, naciągacz, nicpoń, niegodziwiec, nikczemnik, obłudnik, obrzydliwiec, obwieś, oportunista, ordynus, oszukaniec, oszust, parszywiec, paskuda, pętak, picer, podlec, prostak, przechera, przekrętacz, przywłaszczyciel, sęp, szachraj, szakal, szalbierz, szkarada, szubrawiec, szuja, szumowina, ściemniacz, tupeciarz, typ spod ciemnej gwiazdy, wstawiacz głodnych kawałków, wstręciuch, wydrwigrosz, wykręcacz kota ogonem, wyłudzacz, zdzierca, zero, zimny drań, złodziej, złol, zuchwalec, zwodziciel

• • •

bamber, brutal, buc, bufon, burak, cep, chamidło, chuligan, człowiek nielotny, ćwok, gbur, grandziarz, hucpiarz, hurapatriota, kołtun, krzykacz, ksenofob, matoł, megaloman, mizogin, młotek, narodowiec, narwaniec, pacan, patafian, poplątaniec, postrzeleniec, pozorant, półinteligent, prostak, szarlatan, szczekacz, troglodyta, tupeciarz, wał, zacofaniec, zaraza, zarozumialec, żłób

• • •

antysemita, arcyłotr, barbarzyńca, bigot, czub, dewot, furiat, grandziarz, gwałtownik, jaskiniowiec, klerykał, kłótnik, młot, obłąkaniec, nabożniś, palant, paranoik, pobożniś, pomyleniec, porąbaniec, potwarca, psychol, rasista, szajbus, świr, żydożerca

• • •

banalista, bęcwał, bezmózg, cap, chomąt, ciołek, ciućmok, cymbał, człowiek ociężały, człowiek niegramotny, człowiek tuzinkowy, ćwierćinteligent, drab, drobnomieszczanin, dureń, gamoń, głąb, głupek, ignorant, kiep, knajak, kołek, nacjonalista, nieokrzesaniec, nieuk, noga stołowa, nudziarz, osioł, przestarzały typ, przeżytek, prymityw, przygłup, reakcjonista, trep, tuman, zakuty łeb, zupak, żołdak

• • •

Oszusta popiera średnio 24 proc., narodowca – 13, żydożercę – 3, a trepa – 1,5 proc. wyborców. Kraj, w którym to się dzieje, to Polska, środek Europy. Czas: koniec pierwszej kwarty XXI w.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN
kończy kampanię wyborczą,
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
– wakacje na Kubie.

Rys. WIDGET

Joanna Senyszyn: – Tylko znowu nie tłumacz, dlaczego mi nie pomagasz.

Wołk-Łaniewska: – No nie będę, bo już wiesz. Mogę ci za to opowiedzieć kilka dykteryjek z Kuby…

– To potem. Najpierw ja ci opowiem o piątkowej herbatce, na którą zdążysz.

– Słucham z uwagą.

– Przed ciszą wyborczą, w piątek o 17.00, na Placu Zbawiciela od wschodniej strony tęczy, wypijesz ze mną herbatkę, na którą serdecznie zapraszam naszych Czytelników.

– Będą atrakcje?

– Jako imperatorka wszechświata chciałam zrobić galaktyczną niespodziankę i wyświetlić na kilka godzin tęczę, ale firma, która robi takie cuda, zaśpiewała 30 tys. zł, więc będzie tylko herbatka.

– E tam, jak cię znam, nie tylko…

– No dobra, jeszcze wspólne śpiewy „Czerwonych korali" i „Głosuj na Senyszyn", a przede wszystkim wymiany myśli, na których nikt nie straci.

– No to pewnie, że będę. Świecić opalenizną i pokubańską radością życia.

– Jak rozumiem, w kontraście do mnie, zaharowanej w kampanii…

– Joanno, ty świecisz światłem wewnętrznym, nie potrzebujesz karaibskiego słońca.

– Niby racja…

– Czytałam w necie, że na poniedziałkowej debacie trzech telewizji ogłosiłaś, że będziesz żoną stanu. Może warto wybrać parkę i dołożyć ci męża stanu. Kogo byś chciała?

– Politycznie powinnam powiedzieć, że Trzaskowskiego, ale pięć lat w pałacu prezydenckim wolałabym chyba spędzić ze Stanowskim, bo byłoby weselej.

– To na pewno. A poza tym bardzo dobrze o tobie mówi, a lubimy tych, którzy nas lubią. Czytałam, że zaraz po debacie z entuzjazmem cytował w Kanale Zero twój komentarz do końcowej mowy Mentzena, który przechwalał się, że w kampanii odwiedził 340 powiatów: „I prezydentem nie zostanie. A ja żadnego i też nie". Z tym że on nie powinien, a ty owszem, więc może odwiedzanie powiatów jest bez sensu…

– Też tak pomyślałam.

– Od dawna mnie to zastanawia: to chwalipięctwo polityków, jak oni „ciężko pracują w kampanii", jak to te „tysiące uściśniętych dłoni", jak to trzeba „niejedne buty zedrzeć"… Żeby nie było wątpliwości: ja rozumiem, że to jest ciężka praca, ale jest to praca wyłącznie na siebie. Korzyść wyborców z trzydziestosekundowego spotkania z kolesiem albo kolesiówą, która walczy o posadę, jest raczej niewielka. Merytoryczna rozmowa, choćby na czacie, poważna odpowiedź na pytanie – ma sens. Rąsia, klapa, buźka, goździk na bazarze, a potem limuzyna i następny bazar, i abarot – nie daje wyborcom żadnej orientacji w tym, z kim mają do czynienia. Dlatego twoja herbatka jest dobrym pomysłem, bo ludzie będą mieli okazję porozmawiać z tobą naprawdę, a nie tylko strzelić selfie na Insta.

– Wyobraź sobie, że na Hołowni moja zapowiedź piątkowej herbatki zrobiła piorunujące wrażenie. Zaraz po wyjściu z debaty pobiegł do czekającego przed telewizją sztabu i powiedział: „Musimy w piątek przykryć Senyszyn". A TVN to nagrała i zaraz puściła.

– Może to niesłuszne taktycznie, że ogłosiłaś swój plan na ostatnią prostą kampanii, ale rozumiem, że pokusa zaproszenia paru milionów gości była zbyt duża.

– Ano była. Debatę w Końskich, która rozpoczęła mój marsz do prezydentury, oglądało 6,5 mln widzów.

– Po tym doniosłym oświadczeniu już nie wypada mi opowiadać ci o sraczce na Kubie. Pogadamy za tydzień.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 4804903f86